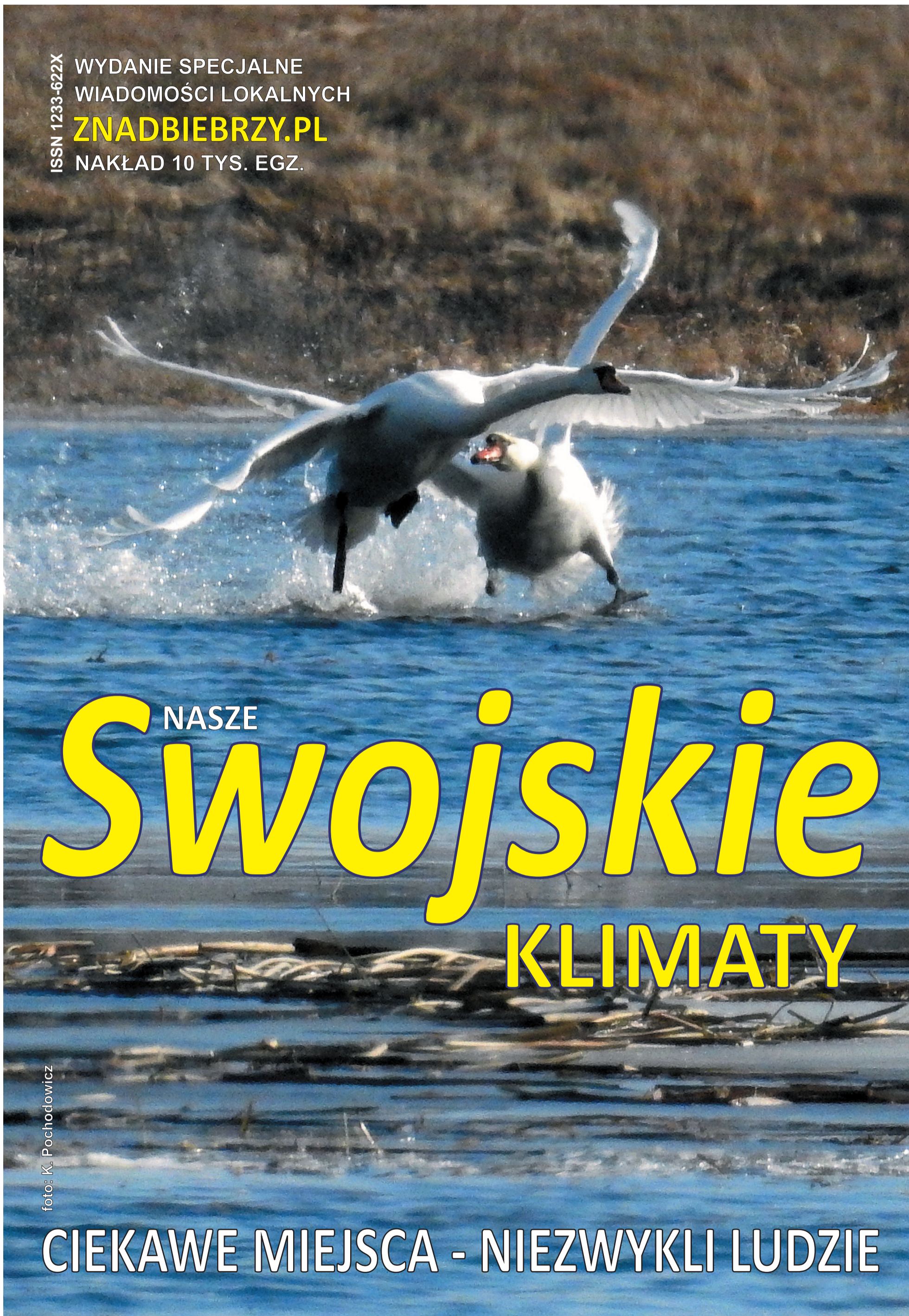


ISSN 1233-622X

WYDANIE SPECJALNE
WIADOMOŚCI LOKALNYCH

ZNADBIEBRZY.PL

NAKŁAD 10 TYS. EGZ.



NASZE
Swojskie
KLIMATY

foto: K. Pochodowicz

CIEKAWA MIEJSCA - NIEZWYKLI LUDZIE

APOSTOŁOWIE BIEBRZAŃSKIEJ FOTOGRAFII - PAWEŁ...

Dostałem niezwykle trudne zadanie dla potrzeb kolejnego wydania Swojskich Klimatów. Otóż każdy piszący w Swojskich Klimatach jest również fotografem przyrody. Jak napisać, żeby nikogo nie urazić, bo każdy z nich to wybitna osobowość i nie tylko fotograficzna ale i charakter indywidualny, każdy inny i niepowtarzalny, choć wszyscy spoglądają na świat przez podobne szkieleto.

Napiszę tylko o tych, których znam osobiście i to przynajmniej 20 lat z racji tego, że jak dojdzie do zgrzytów towarzyskich to mnie niezbyt mocno „poturbują” słownie, bo o rękoczynach nie ma mowy nad Biebrzą. Przyroda łagodzi obyczaje, a „fotografy” jak ich nazywam znani są z cierpliwości i wyrozumiałości. Zresztą na tak wysokim pułapie nie ma mowy już o wyścigu szczurów, a raczej wzajemnym dowartościowaniu. Wszyscy oni o różnych temperamentach są niezwykle dowcipni, choć czasem pointę takiego dowcipu trudno pojąć a czasem dopiero po długim czasie udaje się „zakumać”.

Dziś na „tapetę” wybrałem Pawła Świątkiewicza. Współtowarzysza moich wędrówek po Podlasiu od ponad 30 lat, niezwykle docieklivego i precyzyjnego (z zawodu Paweł jest ortopedą), z zamiłowania doskonałym lekarzem, życzliwym ludziom i przyrodzie a przy tym doskonałym i dowcipnym gawędziarzem.

To Paweł Świątkiewicz był inicjatorem i wykonawcą uhonorowania fotograficznych osobistości biebrzańskich: **Wiktora Wolkowa** i **Ryszarda Czerwińskiego** pamiątkowymi kamieniami na szlaku Barwik - Gugny.

Zdarzyło się nam kiedyś o poranku świeżym upając się zapachem i odgłosami Biebrzy, zadumać się na słonku do nieprzyzwoitości, na pograniczu sennego zamknięcia oczu. I z tego błogostanu wyrwał mnie głos Pawła: wstawaj idziemy. Dlaczego, jeszcze chwilę. Głuchy już jesteś od tego nurkowania, nie słyszysz wiejskiej muzyki? Słyszysz: koguty, krowy, konie i psy, ale mnie się ona podoba. Nie słyszysz jak kajęci grają? Ta muzyka poraża serce ortopedy. Więc wstałem i poszliśmy. Ja myślałem o pięknym poranku, Paweł o czekającym go dyżurze. Poczytajcie sobie sami o jego przyrodniczej pasji ortopedy. **M. Kobeszko**

Dostałem wiadomość, że spada woda i pokazują swoje żółte główki kaczeńce. Taka informacja jest elektryzująca dla każdego, kto choć trochę zna obyczaje dzikich zwierząt.



Kłaczka kaczeńców są przysmakami dzików, a młode łodygi i kwiaty przysmakami losi. My obserwujący przyrodę i fotografujący ją doskonale o tym wiemy. Znamy każde miejsce, gdzie kaczeńce występują łanami, wiemy gdzie i przy jakim poziomie wody są dostępne, i w związku z tym spotykamy się w tych miejscach nawet nie umawiając się.

Zadzzwoniłem do kilku przyjaciół i zawiadomiłem ich, że już się zaczyna. Ponieważ był to normalny dzień pracy, wyruszyłem po południu, nie miałem w planach fotografowania, zamierzałem tylko na miejscu zorientować się w sytuacji. Oczywiście ruszyłem na kaczeńce pod Goniądem, tam najłatwiej z wysokiej skarpy zobaczyć, gdzie grupują się losie przed wieczornym żerowaniem i zajęć strategiczne miejsce. Zajeżdżałem na skarpe koło remizy, spojrzałem i przez lornetkę udało mi się wypatrzyć 9 losi. Wszystkie żerowały na łożach od strony Szafranek. Wiedziałem już, że jeśli wyjadą, to będę je musiał fotografować pod światło, w warunkach niespecjalnie sprzyjających, ale skoro czekałem na nie całą zimę, więc spróbuję. Zjechałem na dół, przejechałem przez most i dojechałem do wieży widokowej. Pod wieżę zaparkowałem samochód, zmontowałem aparat, zapiąłem na statywie, sprawdziłem baterie i już byłem gotowy.

Na rzece w zachodzącym słońcu płynęły z góry rzeki lodzie i zatrzymywały się na przystani koło karczmy Bartła. Przeleciało kilka gęsi. Główne przeloty już się skończyły, a to latały gniazdujące u nas gęgawy, żerujące na oziminach rosnących na brzegach doliny. Przymierzyłem się parę razy do różnego rodzaju ptaszków, tarczy słonecznej, ale czekałem konsekwentnie na losie. A losia nadal jak nie było, tak nie ma. W pewnym momencie zapatrzyłem się na odbicie, oświetlonego ginącym światłem Goniądza w nieruchomych wodach rozlewisk.

Nie wiem, ile to trwało, lecz kiedy obróciłem się w przeciwną stronę, na środku rozlewiska 50 m od drogi stał łos. Pojawił się jak duch, bez pluśnięcia. Więcej hałasu robiły, mające właśnie tarło, leszcze. Co tu robić, ja stoję oświetlony jak na patelni, a on - czarna sylwetka na czarnym tle łoż. Pomyślałem, że spróbuję podejść z krótkim jasnym obiektywem, wiem, że rozlewisko jest płytkie, co potwierdzają wystające z wody kaczeńce, więc powinno się udać. Złożyłem wodery, statyw na plecy i czekam. Po jakimś czasie, uspokojony zaczął żerowanie, wkładał łeb pod wodę i wyjmował z pyskiem pełnym kaczeńców, wydmuchując chrapami wodę. Widzę, że momentami nie patrzy, więc jest nadzieja, że da się podejść. Kiedy łos wkładał łeb pod wodę, robiłem po dwa, trzy kroki w jego kierunku, a kiedy wyciągał - ja nieruchomie. Po kilku takich kęsach stoję 5-6 m od losia, a on spokojnie żeruje tak, jakby mnie nie było. Ale cóż, skończyło się światło, trzeba będzie spróbować w następnym dniu - może wyjdzie wcześniej. Tylko żeby go nie wystraszyć odchodząc.

W tym czasie zaczęli nadjeżdżać turyści. Widok gościa stojącego koło losia po kolana w wodzie nie pozwalał im przejechać obojętnie. Uzbierało się może ze trzydzieści samochodów, a ja, korzystając że odwracali jego uwagę ode mnie, pozwoliłem zacząć się wycofywać. Kiedy wyszedłem na drogę, opadli mnie tłumnie i zarzucili pytaniami, czy to oswojony łos. Odpowiedziałem, że nie do końca. Faktem jest, że znamy się już parę lat i spotykamy w tym samym miejscu, ale to nie znaczy, że jest oswojony. Ja wiem, że on tu będzie i on wie, że ja będę i to cała tajemnica. **Paweł ŚWIĄTKIEWICZ**

Nasze Swojskie Klimaty



PAOLO VOLPONI



WRÓCI DO BIEBRZY Z NOWĄ WIZJĄ

Wizja. To mnie napędza. Kiedy nagle mi się objawia, czuję się, jakbym miał podwyższoną temperaturę, gorączkę, przepelnia mnie elektryzująca potrzeba realizacji tego, co widzę a, na razie, nie istnieje. I potrzeba podzielenia się tą wizją. Wiem - być „wizjonerem” nie zawsze dobrze się kojarzy w języku polskim, nie zawsze ma pozytywny wydźwięk (nic dziwnego, w języku włoskim także). Jednak, jak inaczej mógłby powstać film *„Biebrza - między jawą a snem”*, jeżeli nie w głowie wizjonera?

Wdzieliście ten film? Ja ostatnio miałem przyjemność oglądania go w kinie, na bardzo dużym ekranie, w wysokiej jakości obrazu i nowym formacie dźwiękowym (takim kinowym, 5:1) i, co najważniejsze, po ponad dwóch latach od kiedy ostatnio go oglądałem.

Minęło trochę czasu, mogłem na moje dzieło spojrzeć z dystansem. Film nagle wydał mi się inny, niż pamiętałem, jakby... nie do końca realny. Biebrza w tym filmie wydaje się być miejscem nie z tej ziemi. Ziemi Polskiej jednak! Film w całości znacznie odbiega od tego, co widzi się na przyrodniczych festiwalach filmowych (żeby nie powiedzieć, że od tego, co się widzi w telewizji), jest odległy od innych form filmowych. Mało komercyjny (po kilku emisjach telewizyjnych naciśnięto na stworzenie wersji z komentarzem), ambitny w celach ale jednocześnie skromny, przecięt-

dać, że niemal wszystko zostało nakręcone przez jedną osobę z jedną kamerą. Nie jest perfekcyjny, ale prawie każde ujęcie umieszczone oddzielnie mogłoby stać się dobrą fotografią.

I nagle było mi za mało tych scen podwodnych, tych zwierząt i całego, zadziwiającego świata po drugiej stronie lustra. Miałem po prostu niedosyt. Przecież to właśnie tam, pod wodą, albo, lepiej by było powiedzieć, w wodzie, wszystko się tworzy i wszystko nabiera wyższego znaczenia. Czy byłoby tysiące batalionów, setki latających rybitw, czy byłby łos, wodniczka,

różanka i inne ryby, bielik i orlik i pozostałe najbardziej znane elementy przyrody Biebrzy bez czystej wody i zamieszkujących ją bezkręgowców wodnych? To trzeba pokazać, rozgłosić!

Film to doskonałe narzędzie do ukazania nieznanego szerszej widowni zwierząt, jednak sam film to za mało. Kto zna wodopójkę, kto widział zaloty podwodnego pająka, topika czy tarło suma, kto wreszcie wie, czym żywi się dziwogłówka (niezwykle, prymitywny skorupiak). Mikroskopijne protisty, mikroorganizmy oraz rośliny wodne tworzą pierwsze ogniwa łańcucha pokarmowego w tym świecie. Gdy podążyłem za kolejnymi elementami łańcucha, narodziła się w mojej głowie wizja: aby przedstawić tak złożony, a jednocześnie mało znany temat, należy przeprowadzić całą kampanię szerzącą wiedzę i świadomość społeczną o wartości czystych wód Biebrzy i potrzebie jej zachowania wraz z wszystkimi zamieszkującymi ją organizmami.

Film będzie tylko jednym z elementów tej kampanii, uzupełniającym prowadzone warsztaty z dziećmi i dorosłymi, wystawy, monitoring bioróżnorodności czy wreszcie czynne działania ochronne. Właśnie po to, aby takie cele realizować, od dwóch lat prowadzę wraz z żoną Martą, która jest doktorem nauk biologicznych, Fundację ClearWing na rzecz Bioróżnorodności.

Jako Fundacja, mamy nadzieję nawiązać w ramach tej inicjatywy współpracę z Biebrzańskim Parkiem Narodowym, telewizją oraz z lokalną społecznością zamieszkującą Dolinę Biebrzy, bo wierzymy, że bez zaangażowania szerokiego grona ludzi nie można mówić o skutecznej kampanii o podwodnym łańcuchu życia Biebrzy.

Paolo Volponi



Paolo Volponi - włoski reżyser, producent filmowy i fotograf, autor filmów przyrodniczych, z wykształcenia socjolog.

Współpracuje z polskimi czasopismami geograficznymi i przyrodniczymi. Dla National Geographic Polska zrealizował m.in. filmy o kormoranach, Puszczy Białowieskiej, o konikach polskich i Wiśle.

Ciekawe miejsca - Niezwykli ludzie

Z POZYCJI KULIKA

Peter SCHERBRUK



Kopara opada... W czasach, gdy pierwszy raz stanęliśmy na biebrzańkiej i narwiańskiej ziemi, takie określenie nie było jeszcze znane. Ale gdyby było, zapewne już w pierwszej chwili byśmy go użyli.

Bo gdy tylko, podążając od strony szosy łomżyńskiej, przekroczyliśmy most w Strękowej Górze, oczom naszym ukazały się - no właśnie! Ciężkie kopary, ryjące dolinę rzeki dla jej uregulowania i trochę mniejsze maszyny, prujące rowami dotąd dziewicze łęgi i torfowiska. Mało tego... Napotkani chłopcy zapewniali, nie bez nadziei w głosach, że wkrótce maszyny wyruszą nad niedaleką Biebrzę i wielkie bagno Ławki, które ma być przekształcone w łąkarski PGR na wzór podobnego koło Wizny. Ale też - dodawali, widząc nasze coraz niżej i opadające kopary - że

my nawet kulikowego ogona. I z poczuciem klęski wracaliśmy na przecinającą bagna drogę. Tymczasem... „Skarpa szosy rysowała się przed nami już całkiem wyraźnie, gdy w polu widzenia ukaza się duże, pstro upierzone ptaszysko. Nie było wątpliwości: to kulik! Niski lot wskazywał, że musiał właśnie poderwać się z gniazda...” - wspominałem ten wielki moment w swym debiutanckim raporcie na łamach „Przyrody Polskiej” w 1974 roku.

I na to gniazdo po chwili trafiliśmy. Na ów wymoszczony dołek w mszystej kępie i cztery równo ułożone w nim pokaźne jaja patrzyliśmy przez chwilę zaczarowani, jak na wyżniony skarb. A potem zbudowaliśmy z brzoźowych gałęzi przenośny wigwam, który jak wtedy zapisałem we wspom-



niach” - „*ruchem pionka z dnia na dzień przesunął się po szachownicy kęp*”. I jak zastanawialiśmy się przy tym „*czy uda się zaszachować ostrożnego ptaka, uspić jego czujność?*” Udawało się, kuliki nie bardzo rozumiały, czym jest przenośna, utkana z gałęzi budowla przysuwana ostatecznie ledwie na 4 metry do gniazda. Nowo wyrosłym krzakiem? Nagle zazielenionym drzewem? Zaczajanie się w czatowniach koło gniazd, chwilowe płoszenie gniazdujących ptaków nie

jak powędrujemy jeszcze Carskim Traktem parę kilometrów dalej, to zobaczymy jeszcze te Ławki w niezmiennym stanie i że czeka nas tam „*łosiów, dzików i ptaków tyle, co muchów*”.

Tak też było. Wielka przestrzeń podmokłej, dzikiej ziemi wprost zapierała dech. Ale jeszcze większe zaskoczenie czekało nas, gdy uczyniliśmy pierwsze kroki w poszukiwaniu tego, co nas tu przyciągało.

To był mianowicie pokaźny przedstawiciel ptaków siewkowych, o długim, wygiętym jak szabla dziobie i długiej szyi, wydobywający z siebie głos, który zapewnił mu nazwę: kulik. Właśnie szansa na spotkanie tej z wyglądu egzotycznej istoty przywiodła nas nad Biebrzę. I uwiecznić na z bliska robionych zdjęciach, jakie przed nami udało się uzyskać tylko **Włodzimierzowi Puchalskiemu**. Tylko, że najpierw trzeba było te kuliki odnaleźć, a już wtedy miały opinię wyjątkowych, zagrożonych zagładą rzadkości. Gdy stanęliśmy po raz pierwszy nad wielką, pustą przestrzenią bagien, zadanie to wydawało nam się wyjątkowo beznadziejne.

A jednak takim nie było, choć po pierwszych kilku godzinach brnięcia bagnami wśród zgiełku rycyków, krwawodziobów i czajek nie ujrzeli-



było wtedy jeszcze obłożone żądnymi zakazami - pierwsze miały się ukazać za jakichś 10 lat. Pogrywaliśmy więc sobie z ptakami w tę jedyłą w swoim rodzaju grę: wróci do gniazda - nie wróci? Da się sfotografować, czy nie? Grę, w której obie strony powinny przecież być wygrane. Grę, mówię szczerze, z punktu widzenia interesu tych ptaków i ich lęgu, wielce ryzykowną...

Ale też tym naszym poczynaniem towarzyszyły odgłosy pracy koparek i świadomość, że być może jesteśmy ostatnimi ludźmi, którzy zdążą jeszcze ukazać rzadkie ptaki na tle ich naturalnego środowiska - prawdziwych, porośniętych turzycami i mchami bagien. I być może pierwszymi, którzy ukażą je tu tak dokładnie i z bliska. Słowem - gnało nas poczucie misji. A poza tym - ptaki, nie odkrywając do końca naszych podstępów, szczęśliwie wyprowadzały łęgi, a my zdobywaliśmy pierwsze nasze nagrody na konkursach. Czuliśmy się więc usprawiedliwieni i uspokojeni. Nie wiedząc, że niebezpieczeństwo może przyjść z zupełnie nieoczekiwanej strony...

Tego dnia na mnie wypadła kolejka czatowania w szałasie. Wysiadujący ptak na nasz widok schodził z gniazda, by w pewnym oddaleniu od niego wlecieć w powietrze ze swym tęsknie brzmiącym zawołaniem. Tym razem go jednak nie było. Choć ciepłota jaj wskazywała, że były wysiadywane. Może skrzydlaty opiekun lęgu odszedł na chwilę, żeby się pożywić. Nurkując w zielone wnętrza szałasów jakoś nie zauważyłem, że jest bardziej niż zwykle sfatygowany, rosochaty, przechylony. Odprowadzający mnie do tej czatowni brat popchnął mnie kolanem, bym lepiej wpaśował się w przyciasne wnętrze ukryciu, zasłonił gałęziami wejście i poszedł, mając wrócić o umówionej godzinie. Tkwiłem tak w oczekiwaniu, ale żadne z ptasich małżonków nie przybywało na swój posterunek w gnieździe, choć zwykle bez ceregieli nadszłyby po kilkunastu minutach. Tym razem tylko z dala dochodziły ich smętne trele, brzmiące dla mnie jak wyrzut sumienia? Czy aby nie za dużo nas już tutaj? Czy w końcu nie zostawiają lęgu? Płynęły godziny, a wraz z nimi narastał we mnie niepokój wespół z koszmarną nudą. Już nie mogłem doczekać się nadejścia wybawcy. No, wreszcie słycać kroki. Chłup, chłup, idzie ktoś po bagnie. Ale jakieś ciężkie te kroki w dziwnym rytmie. Jakby wojsko maszerowało po mokradle. I w pewnej chwili odkryłem, że dobiega z przeciwnej strony niż spodziewana - nie od drogi, ale od strony głuchych bagien. Wyjrzałem przez szczelinę, a tu prosto na moją czatownię wali łoś!

Był już całkiem blisko. Odruchowo chwyciłem aparat z teleobiektywem, odchyliłem zieloną zasłonę z gałęzi i... do dziś dnia nie wiem, czy zrobiłem to z chęci sfotografowania zwierza czy w nadziei, że ten gest go spłoszy. łoś podobno kopytami potrafi us-



Urodził się w 1967 roku w Olsztynie, w rodzinie leśników i myśliwych. Fotografiją zajmuje się od 12 roku życia, kiedy dostał pierwszy aparat fotograficzny - Zenith TTL. Z biegiem lat jego zamiłowanie do fotografii coraz bardziej rosło, a przyroda z racji rodzinnych pasji była zawsze tematem przewodnim.

Od 1980 roku mieszka w Niemczech. Przez większą część roku podróżuje z obiektywem niemal po całym świecie, ale miłość do polskiej przyrody prowadzi go zawsze w dzikie ostępy Warmii i Mazur, Pomorza czy Podlasia.

Z zawodu jest grafikiem, ale z zamiłowania przyrodnikiem i fotografem przyrody, autorem, wydawcą i redaktorem naczelnym niemieckiego czasopisma fotograficzno-przyrodniczego „NATURBLICK”.

Od 15 lat fotografowanie przyrody jest jego „chlebem codziennym”. Organizuje warsztaty fotograficzne na Mazurach i Podlasiu dla firm Nikon i Leica, a jego pracę wspomagają też tacy producenci jak Manfrotto/Gitzo, Berlebach, Koenig Photobags, Novoflex, Sony czy też Tamron.

Swoje prace prezentuje głównie w publikacjach własnych, swojego wydawnictwa, oraz w publikacjach sponsorów. Jest autorem albumu „Dolina Rospudy” wydanego przez Biały Kruk. Wydał też albumy o Mazurskim Parku Krajobrazowym, o żurawiach, fotografowaniu zwierząt i o ptakach w Izraelu. Nie bierze nigdy udziału w konkursach fotograficznych, ale często jest zapraszany do Jury.

naturblick.com

miercić nawet i niedźwiedzia!

Tym razem jednak wolał zrobić w tył zwrot, wzbijając fontannę wody i grzecznie się oddalić. Budując nasze ukrycie, zwoziliśmy świeże i gęste gałązki brzoźowe z lasu, bo tu, na bagnie, brzozy są marne, a ich liście pełne dziur. Więc gdy łoś ujrzał pęk gałązek jak z bajki, zakończonych ulubionymi, świeżymi pędami, zaczął korzystać z tak dogodnego paśnika, jaki tu niemal spadł mu z nieba. Ale dla kulików był z tego nieba gromem, na szczęście ostatecznie niegroźnym, bo odstawiliśmy ten paśnik, o one ukończyły łęg szczęśliwie. Gdyby jednak

było inaczej, to my, a nie łoś, bylibyśmy odpowiedzialni za stratę w ptasim gnieździe.

Było mi tylko żal, że nie zdążyłem uwiecznić zwierza. Łosi było wtedy niewiele, mniej niż kulików. Dziś odwrotnie. Ale najczęściej - dużo więcej niż kulików i łosi razem wziętych - jest dziś nad Biebrzą fotografów. I co by było, gdyby wszyscy fundowali przyrodzie takie przygody, jakich - w poczuciu szlachetnej misji - dostarczaliśmy jej my?

Tomasz Klosowski
Fot. Grzegorz Klosowski
klosowscy.pl

Nasz autorski tandem, czyli **Grzegorz Klosowski**, z zawodu malarz, absolwent warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych i **Tomasz Klosowski**, dziennikarz, niegdyś zatrudniony w prasie młodzieżowej, później wolny strzelec, prowadzący program telewizyjny o przyrodzie, ostatnio program „Dzika Polska” w TVP, od kilku dziesięcioleci fotografuje polską przyrodę i krajobraz.

Pierwsze kroki były naturalną kontynuacją traperskich zabaw dzieciństwa, które przerodziły się w artystyczny zawód.

Jego początki sięgają jeszcze fotografii czarnobiałej, na niej też w sporej mierze opierał się nasz pierwszy, dziś już prawie zabytkowy album „Ptaki biebrzańskich bagien”. Oddawał on charakter naszych zainteresowań, których istotą po dziś dzień jest poszukiwanie i uwiecznianie pozostałych w naszym kraju resztek dzikiej przyrody, reprezentujących ją gatunków i krajobrazów.

Stąd ucieczka ze stolicy w krainę nadbiebrzańskich mokradeł, nie wykluczająca zresztą wypraw w inne rejony kraju, które zachowały jeszcze miejscami naturalny charakter. Nasze fotografowanie ma w sobie cechy modnego dziś fotosafari, ale się w nim nie zatracą.

Istotą tego fotografowania jest estetyzujący dokumentalizm ze szczytą refleksji i akcentem na tworzone przez naturę klimaty.

(klosowscy.pl)

O wilku mowa...



Wilki (Canis lupus) ssak drapieżny z rodziny psowatych (Canidae) z wyglądu przypomina dużego psa, jednak ma większą głowę z szerokim - podniesionym czolem, długi pysk, sterczące zaokrąglone uszy, długą wąską klatkę piersiową i długie nogi. Dorosły wilk (samiec) może osiągać długość ciała wraz z ogonem od 1,4 - 2 m. (z czego puszysty ogon stanowi 1/3 długości ciała).

U wilków występuje nieznaczny dymorfizm płciowy (różnice w zewnętrznej i wewnętrznej budowie samca i samicy tego samego gatunku), samiec wilka (basior) jest większy od samicy (wadery) o około 20%. Dorosły samiec waży od 35-65kg, a samica od 30-50kg. Sierść wilków występujących w Polsce ma zmienne ubarwienie od szarego do rudego, jednak z reguły jest to mieszanina różnych barw ponieważ sierść wilka zbudowana jest z kilku rodzajów włosów (przewodnych, ościstych i wełnistych) mających różne kolory. Sposób poruszanie się wilków nazywany jest sznurowaniem, czyli naprzemiennym przekładaniem obu par nóg.

W Polsce okres godowy wilków rozpoczyna się pod koniec stycznia i trwa do pierwszych dni marca. Dwa tygodnie przed rozwiązaniem wadera

rozpoczyna przygotowywanie nory. Zazwyczaj nora znajduje się na wyniesieniu w miejscu trudno dostępnym, czasami pod wykrotem, ale zdarza się, iż wejście do nory znajduje się w pokrzywach lub malinach, nieopodal nory musi znajdować się woda pitna (ciek, wodopój).

Rozwiązanie następuje po 60-65 dniach, z reguły w maju rodzą się młode wilczki, które mają bardzo ciemne ubarwienie, miot przeważnie składa się 4-6 szczeniąt. Ciekawie wygląda takie wilcze przedszkole, ale o tym napiszę innym razem. Obszar, który zamieszkują wilki nazywany jest rewirem. Od roku 1998 wilki objęte są w Polsce ochroną ścisłą. Szacuje się, że na terenie naszego województwa mamy 135 wilków z czego 20 osobników przebywa na stałe w Dolinie Biebrzy, wilki te wchodziły w skład trzech watah (wilczych rodzin).

Kilkadziesiąt lat wstecz, kiedy pierwszy raz ujrzałam wilka w naturze nie zdawałam sobie sprawy z tego, że będzie to spotkanie, które przesądzi o moim dalszym życiu. Były to czasy kiedy mieliśmy taką starą klaczkę o imieniu Zośka. Zośka była bardzo zdyscyplinowana, łagodna i spokojna. Pewnego dnia poszłam zabrać naszą klaczkę z łąki i nie mogłam uwierzyć własnym oczom, Zośka zachowywała się co najmniej dziwnie, wierzgała, parskając,

podskakiwała i wtedy kątem oka dostrzegłam wilka, który stał kilkanaście metrów od nas. Nie-nie bałam się, raczej byłam zafascynowana, Zośka wyrwała się i pobiegła do domu, w tym czasie wilk spokojnie obszedł dookoła łąkę na której stałam i po kilku minutach wszedł w krzaki. Jak widzi się pierwszy raz wilka, to od razu rzuca się w oczy jego „dziwny sposób poruszania”, on nie idzie prosto, a raczej sunie bokiem. Na mnie to spotkanie wywarło piorunujące wrażenie. I zaczęło się, po tygodniu byłam szczęśliwą posiadaczką mojej pierwszej książki o wilkach.

W tej chwili w naszej domowej bibliotece mamy już kilkadziesiąt pozycji o tematyce wilczej. Mijały lata i wilki zaczęły fascynować nas coraz bardziej, już nie chodziło nam tylko o ekologię wilka, ale bardziej o ekologię behawioralną (reakcję zwierzęcia na bodźce płynące z otoczenia). Może mieliśmy łatwiej, gdyż część naszych znajomych zawodowo zajmuje się na co dzień wilkami, więc wiedzieliśmy od czego możemy zaczynać. Często przebywanie w terenie spowodowało, że jeszcze kilkakrotnie miałam okazję widzieć wilki w ich naturalnym środowisku. Pewnego dnia idąc drogą biegnącą od leśniczówki Grzędy na Nowy Świat wraz ze studentami przez kilka minut obserwowaliśmy cztery młode bawiące się wilczki. Innym razem o świcie oprowadzałam po parku znanego polskiego historyka i jego żonę, mieliśmy fart najpierw usłyszeliśmy odgłosy biegnącej watahy, widocznie wilki nie wyczuły nas ponieważ wyskoczyły na szlak, po czym stanęły jak wryte i szybko się wycofały.

Ostatnio w samo południe widziałam młode wilki na „Carskiej Drodze” tuż przy wejściu na Groblę Honczarowską, turyści byli zszokowani. W naszej rodzinie nie ma problemu z wyborem prezentów i zakupem pamiątek, gdziekolwiek jesteśmy kupujemy tylko rzeczy powiązane z wilkami, posiadamy już sporą kolekcję składającą się z co najmniej kilkuset wilczych eksponatów. Jednak przede wszystkim na co dzień zajmujemy się edukacją, kształcimy dzieci i młodzież z najlepszych polskich szkół, mamy już stałych zaprzyjaźnionych wychowawców, którzy co kilka lat wracają nad

RZKA, KTÓRA ŁĄCZY



Biebrza - bezkresne przestrzenie mokradeł - rozlewiska nieujarzmionej rzeki, tworzącej szereg malowniczych meandrów, gdzie króluje przyroda - rozbrzmiewająca na wiosnę tysiącami ptasich głosów. Raj dla miłośników przyrody i traperskiej przygody, obserwatorów ptaków i amatorów "bezkrwawych", fotograficznych łowów.

Biebrza - zwana też "Polską Amazonią" - bierze swój początek niedaleko granicy z Białorusią a kończy pod Wizną, gdzie wpada do Narwi. Aby chronić ten bezcenny teren, we wrześniu 1993 r. powstał Biebrzański Park Narodowy - z unikalną w skali europejskiej przyrodą.

Nad Biebrzą możesz w ciszy i spokoju wypocząć, popłynąć kajakiem, powędrować ciekawymi szlakami przez bagienne bezdroża, w spokoju i ciszy powędrować - wykupiwszy oczywiście wcześniej licencję na połów ryb. Tylko tutaj będziesz mógł zaobserwować i zarejestrować niezwykle zjawiska przyrodnicze.

Mikołaj Samojlik - wielki miłośnik Biebrzy i biebrzańskich bagien, pisarz, podróżnik, poszukiwacz ciekawych miejsc i legend z nimi związanych - pisał: *szczęśliwi ludzie znad Biebrzy. Chyba tak. Biebrza nosi w sobie coś, czego nie da się namalować, opisać, ująć obiektywnym aparatem fotograficznym. Dotyka ona ludzkiej głębi, naszej pierwotności. Nigdzie tak, jak nad Biebrzą nie możemy "pomacać" swojego wnętrza, odnowić się. Gdy tracimy w życiu równowagę, gdy nam się kończą drogi, to wtedy warto przybyć na biebrzańskie bezdroża, przejść się po dzikich trzcinowiskach.*

Nie spotkałem jeszcze nikogo, kto by wyjeżdżał stąd rozczarowany, bez żalu i postanowienia, że wróci...

Krzysztof Pochodowicz
pochodowicz.pl

Biebrze - wracają ponieważ wiedzą, że warto, trafią tu bowiem na pasjonatów, entuzjastów i miłośników przyrody.

Na zakończenie napiszę jeszcze kilka słów o naszym oczku w głowie,

czyli programach stworzonych dla korporacji a mianowicie przełożeniu zachowań wilczej watahy na zachowania korporacyjne „Jak nie dać się zjeść”, „Jak się najeść” i „Jak zostawić po sobie ślad”. Będąc nad Biebrzą warto odkryć co kryje się za Wilczymi Wrotami.

Wilcze Wrota to ekspozycja w całości poświęcona wilkom; pozwala zrozumieć nasze obawy względem nich, przełamać niektóre stereotypy, poznać rolę wilków w ekosystemie i ekomuzeum zgromadzono wiele rzeźb, obrazów, zdjęć, plakatów i przedmiotów codziennego użytku, których motywem przewodnim są wilki. Odnajdziemy tu wilcze ślady; zrozumiemy, jaki wpływ wywarły wilki na nazewnictwo i jak wpływały na ludzkie zachowania. Poznamy również wilcze przysłowia, idiomy, mity i legendy oraz zrozumiemy na czym polega wilcza komunikacja.

Serdecznie zapraszamy do odwiedzenia naszej strony internetowej www.wilczewrota.pl

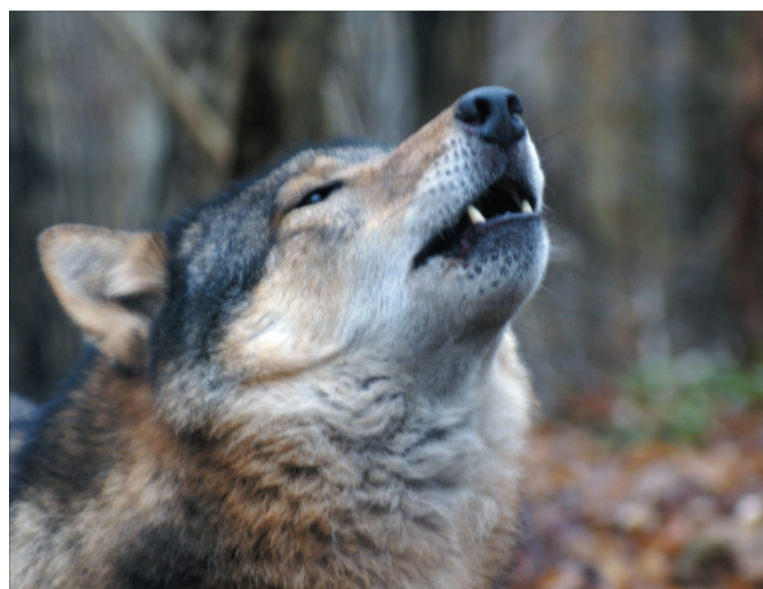
Anna Mydlińska

Mgły...

Mgły skrywają przed okiem obserwatora odciągające uwagę tło, oczyszczają pejzaż z tego, co nieistotne, zbędne. Rozmywają ostrość odleglejszych planów, przez co pejzaż nabiera głębi i rozległości. W wilgotnej przestrzeni mgieł światło rozprasza się, wytraca jaskrawość. Kolory delikatnieją i przechodzą płynnie jeden w drugi. Barwa słonecznego światła nasycy kolorem gęste i wilgotne powietrze, zwłaszcza, kiedy patrzy się w kierunku słonecznej tarczy. W takim przypadku zdarza się, że przez otulające kontury drzew przymglenie przebijają się delikatnym rysunkiem świetliste smugi. Moment, w którym mglisty

poranek wyłoczony barwą słonecznego światła przechodzi w dzień, to czas, kiedy ciepłe żółcie miesza się z coraz to silniejszym błękitem. Takie świetliste przenikanie żółci i błękitu zaobserwowałem fotografując oszronione korony przydrożnych drzew na tle błękitniejącego już nieba. Mgła fotografowana w czerniach i bielach, na ziarnistym negatywie daje z kolei obrazy ascetyczne, mocne i wyraziste w nastroju. Mgła musi jednak zaistnieć w rozległej przestrzeni, bogatej w plany, wypełnionej konturami starych wierzb, płotów, poprzecinanej rustykalnymi drogami, wtedy dopiero staje się dla fotografa darem natury, dopełnieniem piękna podlaskiego pejzażu.

Igor Iwaszko
(igoriwaszko.blogspot.com)



Ciekawe miejsca - Niezwykli ludzie



dawidowizna.wirtualnabiebrza.pl

AGROTURYSTYKA U SOŁTYSA

domowa kuchnia biebrzańska
"Dziabnięcie Bociana"
- nalewka dla gości
ognisko, grill, plac zabaw
dla dzieci
fódkki, kajaki, rowery

Anna i Tomasz Jędrzejczak
Dawidowizna 27 k. Goniądzka

tel. (85) 738 03 78
kom. 606 365 503

W marcu jak w garncu



Od wielu już lat staram się dzielić moją fascynację biebrzańską, którą wysłałem wraz z mlekiem matki, a pogłębiłem jeszcze tłustszym mlekiem od dolistowskich krów. Zaczęło się od pasjonackiej strony internetowej „Moja Biebrza” (początki Internetu), a obecnie fascynacja biebrzańskimi terenami kontynuowana jest na Facebooku i w moich książkach.

Czytelnicy często zadają mi pytania „prądem”, gdzie i kiedy jechać nad Biebrzę. I zawsze odpowiadam: a co chciałbyś zobaczyć? Migrację ptaków, łosie, bataliony, poczuć klimat podlaskiej wsi, łowić ryby czy spłynąć rzeką? Po uzyskaniu na te pytania odpowiedzi, dopiero mogę wskazać konkretny termin. Niestety zazwyczaj pada odpowiedź... WSZYSTKO!

Ale wszystko tak naprawdę trudno jest zamknąć w trakcie krótkiego urlo-

pu albo przedłużonego weekendu. Ponieważ wszystko ma swój czas i nie da się pogodzić każdego zainteresowania kilkoma dniami. Dlatego też moją najlepszą sugestią jest MARZEC! Jeśli mamy szczęście i trafimy kilka słonecznych dni (!), to z dużym prawdopodobieństwem turysta wróci aby nakarmić serce tym, czego w marcu dostarczyć nie mógł. A cóż takiego ten zimny, przedwiosenny miesiąc niesie? Jest to bez wątpienia czas największych rozlewisk rzeki.

Oczywiście spływ kajakiem, czy tratwą przy tak niskich temperaturach i zalegającym jeszcze miejscami lodzie, jest zabawą dość karkołomną, ale w dzisiejszych czasach, gdy każdy (prawie) turysta jest zmotoryzowany, wszędzie można dojechać samochodem lub rowerem (Green Velo), a wszędzie znaczy rozlewiska, punkty

widokowe, polne drogi itp. Oczywiście nie da się zachłystnąć klimatem przelotów biebrzańskich bez wysiadania z samochodu, ale znam i takich, którym to się udało. Jaki jest inny plus przedwiosennego pobytu? Brak uciążliwości całej rzeszy „wrednych insektów”, które pojawiają się pod koniec kwietnia, aby w maju już zawodowo żywić się turystyczną krwią. Czy to ważny powód? Są tacy, którzy właśnie z tego powodu nad Biebrzę nie wrócili, a wszystko przez to, że trafili tam w niewłaściwym czasie.

Inne zalety? Kwatery agroturystyczne odnowione, wywietrzone i unowocześnione... jak to przed nowym sezonem. Jest jeszcze pustawo, bo Biebrza w tym czasie to raj dla koneserów. Rolnicy gromadnie wyjeżdżają na pola i wszędzie się niesie wątpliwy „zapach” krowiego obornika. Przy domach panuje ruch i rwetes, trwają renowacje i porządkowanie zimowego bałaganu. I jest wreszcie to co najważniejsze, około 15 marca rokrocznie trwa szczyt przelotów blaszkodziobych i niebo nad głową zasnuwane jest gęganiem naszych, europejskich gatunków kaczek, gęsi i klangorem żurawi. Turzyce i trzcinowiska mieniają się wyschniętym złotem, a zieleń jest jeszcze tylko na podmokłych łąkach i oziminach, po których przechadzają się wieczorami sarenki i uganiają zające. Wesoło zlatują czajki, pierwsze bataliony, a kaczki całymi stadami szykują się do toków. Bieliki (moje ukochane) korzystają z rajów obfitości i podnoszą stale przesiadujące na podmokłych łąkach tysiące gęsi. Nie ma ciszy... jest wspaniały, przyrodniczy hałas.

Warto dogadać się z jakimś przewodnikiem albo poczytać którąś z moich książek lub biebrzańskich publikacji i jest tam WSZYSTKO opisane. Pamiętajcie... za WIZNĄ (jadąc od Łomży) w lewo na Burzyn i aż do Karpowicz i Sztabina trwa ptasi raj. Wieczory są jeszcze zimne (zabierzcie koniecznie ciepłą odzież - czasami wieje), ale nawet wewnątrz kwatery agroturystycznej, niesie się echo gęgania setek kluczy, które sznurują na łęgowską w Skandynawii albo Syberii.

P.S. Jak dobrze po zimowych marazmach, przewietrzyć właśnie tutaj swoje płuca i przywitać się z powracającymi bocianami, a jeśli ktoś marzy o spotkaniu z łosiem, to one są dostępne stale i w każdym okresie biebrzańskiego roku.

Z biebrzańskimi pozdrowieniami,
Marek Syguła



KRÓLEWSKIE MUZEUM



Muzeum Biebrzańskie mieści się w budynku parafialnym z 1905 roku, nieopodal kościoła w mającym ponad 500-letnią tradycję Trzciannem.

Na 150 metrach kwadratowych wyeksponowana jest część zbiorów Króla Biebrzy. Krzysztof Kaweneczynski zbierał i skupował je przez ponad 20 lat.

O samym pomysły utworzenia tego niezwykłego miejsca, jego twórca mówi:

Trzeba pokazywać ludziom materialne pamiątki świata, który odchodzi. Sprawić, żeby docenili lokalną sztukę i twórczość - od której są odizolowane przez wszechobecne media.

Właśnie po to jest muzeum, żebyśmy nauczyli się miłości do sztuki, poznali i docenili swoje korzenie, poczuli wyjątkowość swojej tradycji i dumę z bycia Polakami.

W muzeum jest dużo tkanin wlnianych - wykonanych przez miejscowe artystki, które tkaly kiedyś na kros-

Nasze Swojskie Klimaty

Król Biebrzy



Krzysiek to postać wyjątkowa, co by o nim i jego "budnińskim" makrokosmosie nie napisać i tak nie odda to atmosfery miejsca i klimatu, jaki w nim potrafił stworzyć.

Odosobnienie i przyroda Bud, atmosfera małej wioski na końcu świata (a może na początku) z jednym tylko mieszkańcem, zbiory etnograficzne narzędzi rolniczych, kowalskich, tkaniny dwuosnowowe, obrazy „Orzecha”, rzeźby (w tym te Dionizego Putry) od sakralnych po demoniczne, liczne przygarbione i uratowane psy, oddech historii zamknięty w carskich monetach, portretach, starych zdjęciach i książkach lub butli gazowej z czasów chemicznego ataku chlorem na twierdzę Osowiec - dopełniają się wzajemnie w przedziwny sposób.

Pewnie łączy to wszystko w całość osoba Krzysia. Drewniane chałupy wrosły w otoczenie Krzysia tak, jak stare drzewa wokół. Melodia z patefonu pośrodku opustoszałej nadbiebrzańskiej wsi brzmi trochę, jakby to Fitzcarraldo z filmu Wernera Herzoga prezentował operowe arie Indianom, papugom i dzikim zwierzętom.

Kiedy odwiedzam Krzysztofa mam zawsze wrażenie, że zdziczały świat tak zwanej cywilizacji i postępu z całym jego plastikowym i tandetnym bliznetrem jest odległy od Bud nie o kilometry, lecz o całe lata świetlne i za to Krzysztofowi chwala.

Igor Iwaszko
igoriwaszko.blogspot.com



Igor IWASZKO

igoriwaszko.blogspot.com

Kiedyś mieszkałem w bloku, w mieście, będącym częścią ogromnej aglomeracji. Nad Biebrzę tylko przyjeżdżałem, wprawdzie przez wiele lat, ale zawsze musiałem powracać do miejskiego zgiełku i chaosu. Do murów tnących i dzielących otwartą przestrzeń na kawalki, do nigdy niegasnących świateł neonów i reklam, na tyle jaskrawych i migotliwych, że blask gwiazd i mroku nocy zatracal swą mistyczną moc i wyrazistość. Redliński opisał kiedyś historię rybaka z nad Biebrzy, którego dusza tak zakochała się w rozlewiskach rzeki, że uleciała nad nie, wolna jak ptak i już nie powróciła. Tak i ja, co roku, zostawiałem swoją duszę na nadbiebrzańskich łąkach i powracałem do miejsc, które już tylko z nazwy były moim domem. W końcu porzuciłem miasto i zamieszkałem w małej wiosce pośród nadbiebrzańskich łąk. Moja wioska na końcu świata stała się dla mnie ukochanym domem i centrum mojego podlaskiego wszechświata, dopełnieniem duszy. Teraz to już nie tęsknota, ale już pewność i radość z dokonanego wyboru.

Chętnie dzielę się nim ze swoimi klientami - w trakcie organizowanych przeze mnie wycieczek po Biebrzy i warsztatów fotograficznych.



Ciekawe miejsca - Niezwykli ludzie

Późna jesień, koniec dobrych brań szczupaka. Biebrza rośnie w oczach, wylewa się z koryta i zalewa czysto wykosszone łąki. To efekt braku parowania i coraz obfitsze opady, a jednocześnie "wyciskanie" wody z ziemi przez pobliskie wysoczyzny, otaczające biebrzańską dolinę. Łódki wywrócone do góry dnem do wiosny będą drzeć na grądkach, artach i wszędzie tam gdzie woda dotrzeć nie powinna. Jeszcze tylko kusząca wędrówka miętusa na tarło i oczekiwanie na pierwsze mrozy. Życie rybackie nad Biebrzą zamiera. Miejscowi nazywają taki stan "ni po wodzie, ni po lodzie".

ZIMOWE RYBACZENIE BIEBRZAŃSKIE



Pierwszy lód, jeżeli bez pokrywy śniegowej, powoduje przypływ rybackich namiętności. Coraz częściej na trzeszczącym, uginającym się lodzie chodzą ludzie z drewnianymi młotami na ramionach i siekierkami za pasem, wygląda że bezcelowo pukają w lód a potem coś tam dłubią. Pytani o powód odpowiadają niechętnie że idą do stogów i drogę badają młotem bo lód słaby. W rzeczywistości wypatrują pod lodem ryby i precyzyjnym uderzeniem w lód ogłuszają je, wyrabiają przerębel siekierką a rybę pakują do worka. Precyzja uderzenia polega na tym aby uderzyć nad rybą a jednocześnie nie zniszczyć lodu pod sobą. Jednak i tak wielokrotnie dochodzi do nieprzewidywanych kąpieli, a ponieważ odbywa się to na zalanych pływaczach to oprócz przyjemności nie ma zagrożenia dla życia. Jeżeli jednak zdarzy się że spotkają się amatorzy "głuszek" zbyt blisko wyznaczonych przez siebie rewirów, dochodzi do zgrzytów. Na początku, oczywiście w formie żartów, do rozbijania lodu pod nogami drugiego tak aby samemu zostać na suchym. Na koniec taka zabawa najczęściej przeraża się w prawdziwe tłuczenie lodu i wszyscy uczestnicy wracają do domu mokrzy. Oprócz wymiernej korzyści w postaci ryb dochodzi nieujarzmiona przyjemność w obcowaniu z naturą, poznanie okolic gdzie nie można łatym dojść lub dopłynąć łódką.

Możliwość zajrzenia do wnętrza wody, która jest w tym czasie przezroczysta, ostry dźwięk pękającego lodu pod młotem i szybko rozchodząca się pajęczyna pęknięć, najczęściej podczas wybranej słonecznej pogody daje niezapomniane przeżycia i tak naprawdę więcej w niej zabawy niż rybów (jak mówią miejscowi). Woda w rzece ścisłana lodem szukająca ujścia we wszystkich nawet najmniejszych dopływach i ciekach zmusza niejako ry-

by do podejmowania wędrówek, sytuacja ta stwarza możliwość stawiania własnoręcznie wykonanych, wiklinowych wierszy. Przedtem jednak trzeba zmniejszyć gardło ujścia wody i znowu "przemysłowość" rybolowców jest genialnie prosta. Wystarczy wpełznąć z obu brzegów snopki słomy lub ciuki siana i w tak ograniczone przewężenie stawia się wiersz, zminiaturyzowana forma jazu, na które kiedyś były wydawane specjalne zezwolenia. Takie jazy istniały już z nadania Zygmunta Augusta między innymi we wsi Szostaki.

Wiadomo że pierwszy lód to szansa na najlepsze połowy "na szarpaka". I znów kilometry lodowych spacerów w poszukiwaniu miejsca gdzie się ryba zgromadziła w głębockach i dołach starorzeczy. W wykutą, tym razem "pieśnią" dziurę wpuszcza się na żyłce umocowanej na prymitywnej wędkę własnoręcznie odlaną cynkową rybkę z wkomponowanym w nią haczykiem, której kształt to własny patent, a którą szarpając góra-dół prowokuje się okonie do ataku, który w przypadku wygłodzonej ryby następuje błyskawicznie, jeżeli nie, to szukają dalej w tylko im wiadomych miejscach. W miejscu gdzie się okonie zgromadziły połów jest szybki i obfity. Okonie złapane w tym okresie są bardzo smaczne, nie pozbyły się jeszcze tłuszczu nagromadzonego na zimę a ikra już mocno narośnięta jest dla smakoszów rarytasem.

W miarę narastania lodowej pokrywy, wyprawy są coraz śmielsze. A to na zwiezione złożonych latem i niedostępnych stogów siana, a to na pobliskie grądy po drzewo. Zawodowi rybacy biebrzańscy wychodzą na lód z sieciami, które nie różnią się od tych letnich niczym po za sposobem ich stawiania. Najpierw wykuwa się podłużne dziury (szpary) w jednym określonym kierunku, oddalone od siebie 5-

10 m, a następnie odpowiednio przygotowaną, łukowato wygiętą tyczką, przeciąga się sznurek, po którym już bez problemu wciąga się sieć. Aby wszystko szło "jak po sznurku" tyczka powinna być możliwie najdłuższa, często też jest łączona jak wędkę bambusówka z 2-3 części. Sieci stawia się 30 m od siebie a między nimi kuje się dziury w które wpuszcza się "brzękadła" z fajerek lub drucianych krązków na linie i potrząsa się. Dźwięk pod wodą rozchodzi się bardzo dobrze, jednak nawet ryby nie potrafią określić z której strony dochodzi. Ponieważ już od dłuższego czasu duże ryby roślinożerne trwają w swoistym letargu, skupione w dennym mułu, w bezgłośnym i ciemnym odrętwieniu, każda ingerencja powoduje chaotyczną ucieczkę, kończąca się często w sieci.

Stabilny i długotrwały, skuwający wszystko na "dycht" lód, bardzo często przykryty śniegową pierzyną powoduje "przyduchę" co bywa niezadko prawdziwą tragedią w życiu podlodowym rzeki. Ryby same szukają oddechu, wykorzystując do tego wirującą na wietrze trzcinkę wokół której lód nie zamarza lub kopczyki piżmacych gniazd, których właściciele dbają aby nie zamarzały. W takich miejscach piskorze same niemal wychodzą na lód, a jeszcze do nie dawna w takiej obfitości ze wożono je sankami a nawet furami i karmiono świnie.

Dla bardziej wyrafinowanych rybolowców, doskonałych znawców życia rzeki, były wyprawy w poszukiwaniu "odparek" i rzecznych odchów w królestwo wydry, która niestrudzenie odbywa walkę z rybami, wyciągając je na lód i po wygrzaniu podgardla lub karku pozostawia ją jak w zamrażarce z czego korzystają lodowi wędrówcy. Czasem są to takie ilości, że odnosi się wrażenie że zabija te ryby dla samej satysfakcji zabijania. Ponieważ jest ssakiem, pod wodą może przebywać w określonym czasie a więc staranie dba o to, by jej dziura żywiciela nie zamarzała. Przy umiejętnym podbieraniu jej zdobyczy trafia się niejednokrotnie na swoiste źródło świeżej lub mrożonej ryby. Wydra to morderca doskonały, sam widziałem wywleczone na lód 20-kilogramowe sumy i to kilka w jednym miejscu. Znaleźć tam można czasami cały przekrój biebrzańskiej fauny, z rakami i żabami włącznie. Jednak jej ulubionym przysmakiem jest piskorz uskładany wielokrotnie na sporą kupkę - z odgryzionymi głowami.

Przeciągająca się ostra zima, skuwająca lodem rzekę prowokuje szczupaki do tarła pod lodem, które zaczynają szukać swojej szansy same nie czekając na wiosenne roztopy. Stąd następna możliwość na swoiste rybactwo. Dla dobrych znawców rzeki stawianie na "blatach" (wypłyconych równych powierzchniach dna) bomb lub pupów i czekanie na dużego szczupaka, to wyzwanie. To w taki sposób padają największe rekordy, często z odpowiednio spreparowaną legendą. Umiejętność obserwacji naturalnego środowiska, przekazywana z pokolenia na pokolenie, prymitywne technologie, które utrwaliły się i sprawdziły pozwalają na racjonalne korzystanie z tych dobrodziejstw rzeki, choć nie zawsze legalnie. Oceniając to z perspektywy czasu, bez większych strat dla środowiska. Moralna ocena takich poczynań nie jest łatwa. Kłusownictwo, to nic innego jak sposób spojrzenia na te same czynności z różnych perspektyw i dostosowanie przepisów do realiów. Myślę, że warto pokusić się o

Pierwsze kroki na biebrzańskich bagnach



Pomysł przyjazdu na wiosenne obserwacje ptaków na rozlewiskach Biebrzy zrodził się w naszych głowach parę miesięcy wcześniej. Wtedy jeszcze przemierzaliśmy leśne mazurskie ostępy w poszukiwaniu zrzutów jeleni.

Razem z kolegami wyruszyliśmy do "krainy łosia" w czwartkowe popołudnie z nadzieją, że choć przez kilka dni weekendu uda nam się zaobserwować typowe dla tego obszaru gatunki ptaków, a także, wspomnianego wcześniej, największego u nas przedstawiciela jeleniowatych. Ryś? Wilk? Marzenie! Zawsze trzeba mieć nadzieję na przychylność Matki Natury, dlatego pełni wiary w udane "łowy" z aparatami i lornetkami wyruszyliśmy o świcie na podmokłe łąki.

Pogoda uraczyła nas wspaniałym wschodem słońca, któremu wtórowały nawoływania bekasów, gęsi i żurawi. Kiedy tuż obok nas przelatywały stada batalionów, wzdłuż horyzontu lornetką, dostrzegłem dwa dorosłe losie. Szybko zapadła decyzja o robie ich podejścia. Wraz z malejącą między nami i zwierzętami odległością zwiększała się ich liczba - teraz widzieliśmy cztery okazałe, starsze osobniki, którym towarzyszył zeszłoroczny łoszak. Dystans ciągle się skracał, a my próbowaliśmy pod osłoną nielicznych kęp wierzbowych podejść niepostrzeżenie jak najbliżej. Ostatecznie udało nam się osiągnąć odległość 30 metrów, co ze względu na ograniczoną liczbę zasłon terenowych uznaliśmy za sukces. Nie było jeszcze godziny ósmej, a wyjście już zaliczyliśmy do udanych.

W następnych godzinach odwiedziliśmy pobliskie lasy, w których natknęliśmy się na zmięte zygzakowatą, będącą od tamtej pory najbardziej obfotografowaną zmięta na bagnach. Kiedy słońce zaczęło dawać się nam we znaki dotarliśmy do czerwonego szlaku, prowadzącego z miejscowości Barwik do Gugien, przez uroczysko Kaliszek. Po drodze napotkaliśmy liczne ślady bytowania wilków, co pobudziło naszą wyobraźnię i jeszcze silniej zacisnęło dłonie na aparatach. W godzinach popołudniowych zmierzaliśmy się z najtrudniejszym chyba odcinkiem szlaku, kiedy po brzegi kaloszy brodziliśmy w wodzie i błocie. Zmęczeni, ale w bardzo dobrych nastrojach, dotarliśmy do punktu końcowego.

Kolejny poranek przyniósł następne spotkania z łosiami. Ledwo wyszliśmy na trasę, kiedy na skraju lasu ukazała się nam kłępa z młodym, która, jak się później okazało, bacznie obserwowała innego osobnika. Spotkanie z tym ostatnim było takim, na jakie liczyliśmy. Warunki do fotografowania były wręcz idealne - trwała tzw. złota godzina, kiedy wschodzące słońce daje bardzo plastyczne światło, sprzyjał nam wiatr oraz to, że przed obiektywami mieliśmy zwierzę młode, zatem mniej czujne. Po takie zdjęcia i obserwacje nad Biebrzę przyjechaliliśmy. Wieczorem tego dnia los ponownie się do nas uśmiechnął. Okazało się, że przy domu, w którym stacjonowaliśmy, odbywać będzie się spotkanie Ludzi Biebrzy.

Lepiej być chyba nie mogło! Poznaliśmy przesympatyczne osoby, którym region ten jest sercu najbardziej bliski, i którzy nie szczędzili nam opowieści o zdarzeniach z nadbiebrzańskich bagien. Wieczór upłynął nam we wspaniałej atmosferze, stworzonej przez otwartych ludzi - pasjonatów, miłośników tego, co Dolina Biebrzy oferuje tym, którzy zdecydowali się ją odwiedzić.

Ostatniego dnia naszej wyprawy udaliśmy się w miejsce ujścia Biebrzy do Narwi, gdzie, przy zachodzącym słońcu, mieliśmy okazję obserwować m.in. stada rycyków, gęsi, łabędzi, a także brodze i bielika. Przyroda Biebrzańskiego Parku Narodowego wywarła na nas ogromne wrażenie. Z pewnością nie był to nasz ostatni pobyt na biebrzańskich rozlewiskach. Musimy przecież dopytać gdzie śpi licho z lasu, nad czym tak kłępa wylewała łzy i dlaczego łos tak mocno kopie...

Serdeczne podziękowania kierujemy gospodarzom domu, w którym mieliśmy przyjemność mieszkać - Państwu Mirosławie i Eugeniuszowi Wilczewskim, za ciepłe przyjęcie i serdeczność.

Wojtek Zapora



NIEPOWTARZALNY ARTYSTA BIEBRZAŃSKIEJ PRZYRODY

który niespodziewanie odszedł od nas tragicznie 8 czerwca 2016 roku.



Fotografie Marka Sochy wyróżnia piękno krajobrazów Biebrzy i światło, które potrafił pokazać w mistrzowski sposób. Na Jego zdjęciach każdy znajdzie coś bliskiego sobie - liryzm zachodów słońca, tajemniczość zmierzchu, spokój wielkich przestrzeni, żywiołowość ptaków, dostojność żurawi, a nade wszystko spokój nie niepokozonej przez człowieka przyrody...

Czasami zachodzi konieczność...

Czasami zachodzi konieczność, żeby pojechać do Warszawy. Oj nie lubię.

Gdyby nie to, że tam dzieci czekają ze swoimi najważniejszymi sprawami i pewnie jakaś dobra pizza, to bym się zbuntowała i nie jechała. Nie, żeby lenistwo. Zwyczajnie ciężko z wioski wyjechać. Nie lubię i już. Zmora jakaś dusi czy co? Odsuwam myśl nie tyle o drodze, chociaż daleko i Suzuki nie umie się spieszyć, ale o tym tłumie, zgiełku, bajzlu wizualnym, napięciu, które maluje się na twarzach mieszkańców. O punktualności i akurataności. Nie lubię już, nie nadaję się zwyczajnie.

No ale skoro ruszam, to w końcu przecież dojeżdżam na miejsce. Żeby jechać, wyobrażam sobie, że ich, ludzi, tam w mieście nie ma. Mam nadzieję, że ich nie ma. Bo jeżeli w mieście nie ma już ludzi, to mogę na trochę tam pojechać.

Jak to się stało?

Często zadają sobie pytanie, jak to się mogło stać tak szybko i nieodwracalnie.

Wystarczyło pomieszkać nad Biebrzą blisko cztery lata, żeby wszystko stanęło na głowie. I tak ja, osoba dawniej ubrana w garsonkę i wysokie szpilki, w makijażu i z fryzurą prosto od stylisty, przemieszczająca się samochodem, samolotem na bardzo duże odległości, po całym świecie, z własnej i nieprzymuszonej woli, wrosłam w podlaską wieś. Na dodatek wrosłam też w kalosze, bagna, kałuże,

torfowiska, warzywniak, kurnik i pole z truskawkami czy tam ziemniakami.

Chociaż wiem jak.

Zawsze potrzebowałam przestrzeni, odstępu, dystansu. Nie lubiłam, kiedy wszyscy tłoczyli się wokół. Irytował mnie sposób, w jaki tam, w mieście zyskuje się akceptację.

Tutaj, trzeba być po prostu zwyczajnym. Nie ma potrzeby zakładać garniturów, masek, odgrywać żadnych ról. Tutaj można być takim, jakim się jest w środku. I co najważniejsze, tutaj tego się właśnie oczekuje i za to ceni innych ludzi. Każdy ma prawo do przestrzeni i prawdy.

A przestrzeń nad Biebrzą jest nieograniczona.

Wydawać by się mogło, że w małej społeczności jest mały potencjał. Nic bardziej mylnego. Tutaj dopiero, w każdym człowieku widać cechy najprawdziwsze, niezakłamane, takie których w mieście, nikt nie ośmieliłby się publicznie odkryć.

Tu można być, a niekoniecznie mieć.

Każde spotkanie z sąsiadami, z dziewczynami z Koła Gospożyn Wiejskich, z Przewodnikami czy pracownikami Biebrzańskiego Parku Narodowego i innymi zamieszkanymi w szaleństwo zwane biebrzniciem, to odkrywanie prawdziwego człowieka, jego historii. Słuchanie o tym, co w duszy gra.

Namiętnie zbieram te historie i zapisuję. Może kiedyś poskładam to w jakąś całość. Jedną z takich historii,

Szlihta

Ile ludzi, tyle perspektyw - każdy kwiatek, strumyk czy podmuch wiatru wywiera odmienne wrażenie na każdego człowieka. Biebrza i okolice są fantastycznym miejscem, ludzie mieszkający tu od pokoleń będą widzieli ten sielankowy krajobraz zupełnie inaczej niż przyjezdni. Jeden czynnik jest jednak wspólny - zachwyty. Ja sama pochodzę z malowniczego naddnieprzańskiego zakątku Ukrainy, będącego zarazem kolebką rodzimej kultury. Sam mój dziadek pochodzi z Polski, a splot wydarzeń zaprowadził mnie nad Wisłę gdzie spędziłam drugą połowę swojego życia.

Okolopodlaskie tereny zawsze mnie fascynowały swą wielokulturowością i pewną tajemniczością. Trzy lata temu całkowicie bez planu wybrałam się nad carską drogę - główny szlak, zarazem kręgosłup biebrzańskiego PN. Prowadzi nas naprzemiennie przez łąki, liczne bagna oraz gęste, zróżnicowane lasy, a dobre oko nie raz się natknie na przeróżnych przedstawicieli okolicznej fauny. Poza przyrodą są również mili i otwarci ludzie, w razie potrzeby zawsze chętni do pomocy. Za każdym razem po całym dniu wędrówki zatrzymuję się w gościńcu w Gugnach. Wszystkie te zakątki są wbrew pozorom bardzo łatwe i miłe w poznawaniu, czemu pomaga szczególnie sympatia ludzi.

Przedstawione fotografie są jedynie namiastką tego, co oferuje tutaj natura.

- **Łoś** - Niespodziewane spotkanie. Strugi światła nadają ukośnej kompozycji, którą przecina stojący dumnie w centrum, wyglądający zza sosen łoś.

- **Ryś** - Zdjęcie z którego jestem chyba najbardziej dumna. W czasie, gdy uwiecznianie łosi starałam się opanowywać do perfekcji, znikąd ukazał się chyba najrzadszy widok, którego nawet nie miałam w tyłu głowy, że uda mi się uwiecznić. Zmęczenie potęgowało niedowierzanie i dopiero, gdy wróciłam do domu, po spojrzeniu w te ślepie, uwierzyłam, że udało mi się sfotografować najprawdziwszego rysia.

Lubow Szlihta

czy też historyjek, od Pana Janka, mojego ulubionego sąsiada.

"Jeden taki to miał żertą żonkę. I ona gotowała mu zupę, żeby zjadł jak z roboty wróci. Tylko całe mięso zawsze wyjadała i jemu zostawała polewka. I jak raz wrócił któregoś dnia wcześniej, a żonka jeszcze mięsa wyjeść nie zdążyła. Ale, że żerta była, to zaczęła umyślać jakby się jego z kuchni pozbyć.

- Stasiulku - mówi - mnie tu sól wyszła, ty idź na strych i soli garnczek przynieś.

- Ta, ja na strych polazę, a Ty znów



mięso wyżresz.

- Nie Stasiulku, jak cały czas będę w ręce klaskać, to będziesz słyszał, że nie wyjadam.

Stasiulek się zgodził i na strych ruszył. Żonka w ręce klaszcze i patrzy czy chłop jeszcze widzi. Jak tylko znikną jej z oczu, kieckę w górę zadarła i jedną ręką zaczęła klaskać po dupie (bo to kiedyś mężatki latem majtków nie nosili), a drugą mięso wyjadła.

Wrócił mąż z garnczkiem soli, a żonka w lament.

- Oj Stasiulku, co Ty tak powoli

lazł, całe mięso się wzięło i rozgotowało."

Prawdziwa historia o prawdziwej, łakomej babie. Wszystko tu nad Biebrzą jest proste.

Więcej opowiadań, w następnym numerze albo podczas wizyty w naszej wiosce - zapraszamy.

Beata Mularska
Licencjonowany Przewodnik po Biebrzańskim Parku Narodowym Łosinek, Dolistowo Stare.

BHP NAD BIEBRZĄ

SZKOLENIA W ZAKRESIE BEZPIECZEŃSTWA I HIGIENY PRACY

- pracodawców oraz osób kierujących pracownikami,
- pracowników administracyjno-biurowych,
- pracowników na stan. robotniczych oraz inżynierjno-technicznych,
- w zakresie udzielania pierwszej pomocy oraz wykonywania działań w zakresie zwalczanie pożarów i ewakuacji pracowników.

511 797 444 Szkolenia online (samokształcenie kierowane) i stacjonarnie (BHP nad Biebrzą - z możliwością noclegów hotelowych lub agroturystycznych, wyżywieniem i programem biebrzańskim w czasie wolnym - zakres do ustalenia).
511 797 111 Wspieramy Psie Przytulisko Króla Biebrzy
511 797 444 - przeznaczając na nie 10% zysków ze zleceń z tej reklamy!

ZAWSZE W DOBREJ CENIE BHP SZKOLENIE...

BHP.Pochodowicz.pl

Ciekawe miejsca - Niezwykli ludzie



agroturystykabiebrza.pl

Przed 20-tu laty, we wrześniu 1999 roku wspólnie z moim druhem Witkiem po raz pierwszy przyjechaliśmy do Gugien, dla nas serca i najważniejszego adresu w Biebrzańskim Parku Narodowym.

Stało się to za namową Witka, dzięki czemu za jednym zamachem poznałem piękny kawałek Polski oraz uświadomiłem się geograficznie. Wcześniej słysząc „Biebrza” - myślałem o rzece której lokalizacji nie potrafiłem bliżej określić, pewnie lokalizowałbym ją gdzieś w okolicy Dolnego Śląska (to straszne, ale wówczas taki był stan mojej świadomości).

Z perspektywy minionego czasu...



Pamiętam jak zajechaliśmy przed ganek domu **Mirki i Gienka Wilczewskich**, którzy czekali na nas pewnie z zainteresowaniem przyglądając się tym dwóm gościom którzy dzwoniąc z Warszawy zarezerwowali sobie pobyt weekendowy. W tej pierwszej wyprawie, tak jak w wielu kolejnych towarzyszył nam piękny Spaniel Złoty, suczka imieniem Sara, zawsze przyjacielska i wesoła która błyskawicznie stała się przedmiotem adoracji miejscowych psiaków - Fafika od **Kowalskich** i Pluta od **Szawłowskich**, dla których pewnie konkurencja o względy psyki spanielicy stała się kolejnym powodem sąsiedzkich animozji. Dziś zazwyczaj przyjeżdżamy we cztery z synami Witka - co też jest znakiem czasu, starszy z nich jest niemal rówieśnikiem naszych Biebrzańskich wypraw. Z perspektywy czasu naprawdę wdzięczny jestem losowi, że to właśnie do Gugien, pięknie położonych na leśnej polanie i tak cudownie kameralnych, nas skierował.

Przez te dwadzieścia lat tak wiele się w Gugnach zmieniło..., przede wszystkim zmienił się „nasz” Gugieński dom. Przez pierwsze siedem lat był to stary dom rodziny Gienia z kafłowymi piecami, z kafłową kuchnią który mi osobiście przypominał dom, w którym się urodziłem i wychowywałem przez pierwsze 6 lat życia. Pięknie spędzało się w nim zimowe, czy późnojesienne wieczory na „Polaków długich nocnych rozmowach” przy dobrym jedzeniu i własnych trunkach. Szczególnie przyjemnie gdy wracało się zmarzniętym z wycieczek, i w ciepłe kafłowego pieca można było wygrzać zmarznięte członki. Pamiętam przerażenie gdy pewnego czerwcowego dnia 2006 roku wracając z delegacji w Augustowie, zajrzeliśmy do Gugien i ujrzeliśmy zgłiszcząca domu.... Baliśmy się, że to koniec naszych Gugien, ale na szczęście dzięki naszym gospo-

darzom jest nowy dom. Też stał się „naszym”, jest inny, taki bardziej współczesny ale stopniowo i on pokrywa się patyną czasu, i też bardzo dobrze w nim się czujemy. Chwała Mirce i Gieniowi, że go zbudowali.

Zmieniły się i Gugnny. W tamtych pionierskich latach można było jeszcze na drodze Gugieńskiej spotkać krowy, które nasz najbliższy sąsiad wyganiał na pastwisko. Z czasem ci jedyni gospodarze zajmujący się rolnictwem przenieśli się bodaj do Moniek, dom sprzedali, nowych właścicieli którzy wpadają tam na wypoczynek widziałem chyba tylko raz. Z tymi naszymi wcześniejszymi sąsiadami wiąże się też sylwetka wspomnianego tu Pluta. Pies powsinoga, znikający na całe dni - mówiło się o nim, że w czasie takich dłuższych nieobecności widywano go nawet w Wiźnie - czasami pojawiał się na trasie naszej wycieczki zupełnie niespodziewanie wracając w stronę Gugien gdzieś od strony Biebrzy. Jak pies Baskervilleów z powieści Conan Doylea wrzosowiskach, tak ten na turzycowiskach. Wreszcie łapa mu się powinęła. Energiczna gospodyni poskromiła go i biedak spędzał później całe dni na podwórku. Odwiedzaliśmy go tam czasem. Wówczas psim królem Gugien stawał się Fafik od Kowalskich, wcześniej zdominowany przez wszędobylskiego sąsiada, zażywającego panowania na Gugnach tylko w czasie wędrówek konkurenta z sąsiedztwa.

Nie mieszka już w Gugnach Starsza Pani, w domu której pomieszkiwał Tomasz Kłosowski, a którą często można było spotkać jak spacerowała i przyglądała się temu co dzieje się ciekawego i kto zajechał do Gugien. Za to teraz w jednym z domów mieszka młoda rodzina i pojawiają się młodzi ludzie ze Stacji Terenowej Uniwersytetu Białostockiego - 20 lat temu stacji w Gugnach nie było. No i oczywiście

są goście u Pani Kowalskiej, stały niezmienny element scenografii Gugien. Nie sposób jeszcze nie wspomnieć o wieży w Gugnach, choć w rzeczywistości leżącej dobry kilometr od zabudowań. Niestety i ona, zdawałoby się tak wpisana w okoliczny pejzaż jak Pałac Kultury w Warszawie, zniknęła. Pytanie czy wróci to jedna z większych naszych trosk. Skoro o zmianach w okolicy mowa to zaznaczę że wtedy nie było w Dobarzu, tak dziś wpisane go w krajobraz „Dworu Dobarz”, pensjonatu i restauracji w której można dobrze zjeść i który, jak sądzę, dla zagranicznych gości jest dobrą wizytówką polskiej kuchni.

No ale oczywiście Biebrza to nie tylko Gugnny. To Łąki nad Narwią w okolicy Zajek, to okolice Wizny i Bronowa, to Kołodziejce, Gielczyn i Góra Strękowa. A Bagno Ławki i Grobla Honczarowska? A przecież są też ich vis a vis po drugiej stronie rzeki - Burzyn, Brzostowo, Biały Grąd i Sośnia. No i cała północna czyli Środkowa i Górna część basenu rzeki z piękną i oryginalną panoramą Goniądza dającą pojęcie o obronnym położeniu dawnego grodu i z piękną panoramą rozlewisk widzianą z Goniądza. Osowiec, Dolistowo, Sztabin, pętla szlaków turystycznych na Czerwonym Bagnie, cudowne łąki koło Kamiennej Nowej i Lipsko - prawie już u źródeł naszej rzeki. Wszędzie tam byliśmy i z każdym z tych adresów coś się kojarzy. Czasami były to niesamowite i niepowtórzone spotkania, jak to z Sową Jarzębatą w okolicy Grobli Honczarowskiej i Bagna Ławki czy ze stadem Górnickich na Białym Grądzie. A co roku były obserwacje w prawie każdym z wymienionych wyżej miejsc Batalionów, Rycyków, gęsi, łabędzi trojakięgo rodzaju o kaczkach wszelkiej maści nie wpinając. Prawie zawsze widzieliśmy Łosie, a jeśli jednak ich nie spotykaliśmy to byliśmy przeświadczeni że one nas widziały. Poznaliśmy nawet tutejszą celebrytkę - kłepę Matyldę o której w TV mówił Tomasz Kłosowski. Niezliczone wycieczki piesze, jak choćby ta z nocowaniem na wieży w Barwiku czy pamiętna wyprawa Groblą Honczarowską aż do rzeki skutej lodem, zwieńczona położeniem się na Biebrzy. No i powrót. Bagatela - w sumie prawie 20 km w styczniu, takie rzeczy się pamięta. Były też spływy. Te Biebrzańskie z Osowca do Wizny, z Lipska do Osowca, albo choćby krótsze ze Sztabina czy Dolistowa do Goniądza. Był spływ Kanałem Woźnawiejskim. Dziedzictwem Biebrzy, która zaraziła bakcylem kajakarstwa są też nasze spływy Rospudą i Czarną Hańczą. Nie byłoby ich gdyby nie nasza rzeczka.

Tak, nad Biebrzę jeździliśmy wypoczywać aktywnie czemu sprzyjały ciepłe pory roku, ale też nie stroniłmy od wyjazdów w nieturystycznych okresach. Listopadowe pobyty z krótkim dniem i jeszcze nie śnieżną aurą dawały odpoczynek i dystans od naszych wielkomiejskich i koncertowych klimatów w których na co dzień żyjemy w Warszawie. Dystans sprzyjał

świeżemu spojrzeniu na rzeczywistość. Bywaliśmy też tak jednodniowo, nie za często ale jednak. Nieraz zaliczyliśmy Wszechnice Biebrzańskie, zawsze przynajmniej wykład, a czasem i niedzielną wycieczkę w tym tę prowadzoną przez obecnego Dyrektora Parku Andrzeja Grygoruka do grobu generała Sulika w Kamiennej Starej. Historia która mnie jest bardzo bliska połączyła się tu z zamiłowaniem do przyrody i turystyki. Nie pierwszy raz przecież. Wystarczy wspomnieć Wiznę, Górę Strękową oraz rok 1939 a przecież mamy Twierdzę w Osowcu i ślady przepraw szwedzkiego Karola XII przez Biebrzę z początków XVIII-go wieku i czasów Wielkiej Wojny Północnej - gdzieś w okolicach Olszowej Drogi i Sośni.

Takie są moje refleksje, niekoniecznie mogą zainteresować każdego czytelnika, ale sądzę że te zaistniałe przez ten czas i wychwycone przeze mnie zmiany w tutejszym pejzażu kulturowym zainteresują tych którzy tu przyjeżdżają krócej, choć prawdę mówiąc trochę mnie onieśmiela fakt że tylu ludzi jest z Biebrzą za Pan Brat o wiele dłużej niż ja i niejedno mogłoby tu dodać. Tym bardziej, że to z takimi ludźmi spędziłem ostatnio wieczór przy ognisku, co zaowocowało moimi refleksjami. Mam nadzieję że w dobrym zdrowiu i komitywie doczekamy z kolegami kolejnej okrągłej rocznicy przyjazdów w te okolice. Czas szybko leci, więc może okaże się że 30-tkę też zaliczymy, a kto wie może i 40-lecie. Daj Boże.

Radosław Bratos



Wody...

Rozległe przestrzenie podlaskiego pejzażu wypełniają wody wiosennych rozlewisk. Biebrza, Narew, tafle wody utrzymujące się na łąkach, wytopione na przedwiośnie z zalegającego śniegu tworzą malownicze rozlewiska. Woda przyjmuje barwy brązu, wschodzącego słońca, błękitu nieba lub szarości pochmurnego dnia. Odbijają się w niej drzewa, płoty, nawet przestrzeń nieba wraz z płynącymi przez nią chmurami. Bywa, że linia horyzontu zlewa się z fakturą wody, tak, że już nie wiadomo gdzie jest niebo, a gdzie woda. W oparach nad rzecznych zacierają się granice pomiędzy wodą, powietrzem, wierzbowymi krzakami, które zatopione w wodzie, wylaniają się z kolorowych oparów

jak ciemne i niewyraźne plamy. Kiedy noc zmienia się w dzień, Biebrza okrywa się wilgotną, zmienną, bezkształtną mgiełką, nie tą gęstą i nieprzeniknącą, raczej tą zwiewną, lekką, prawie przezroczystą. Wilgotne cząstki powietrza otulają kształty, odbierając im ostrość konturów i intensywność barw. Jeśli skierujemy wtedy wzrok ku słońcu, rozproszone i miękko rysujące światło słoneczne rozlewa się, w obłokach oparów nadwodnych, najpierw różami, potem czerwieniami, a następnie żółciami. To spektakl ulotny, kapryśny, lekki i piękny. Nie sposób przecież zatrzymać lśnienia, nie sposób go nawet dotknąć, cofa się i rozplywa, kiedy próbujemy weń wnikać, a jednak przenika do głębi naszego jestestwa bardziej niż oczywistość i brutalność konkretności.

Igor Iwaszko



Pstrykane Podlasie
Utwórz nazwę użytkownika strony
Strona główna



FB/Pstrykane Podlasie

Zawodowo i amatorsko, ale zawsze sercem - pisane, fotografowane i malowane Podlasie...

PAPARAZZI WILD LIFE

- to natrętni fotograficy natury



„Dzika Polska”, czy taka jeszcze istnieje? Tak! Poznaj życie prywatne dzikich zwierząt zgodnie z tym, jak widzi je współczesna nauka.

Proponują bracia Tomasz i Grzegorz Kłosowscy w swojej najnowszej książce. Braci Kłosowskich nie muszą przedstawiać więc przedstawię tylko moje wątpliwości, czy na pewno nad Biebrzą? Do niedawna na pewno tak, ale trend a właściwie „wyścig szczerów” w fotografii, powoli ale nieubłaganie zmienia „dzikość” na „oswajalność”, „przystosowalność” a nieublaganie w „banalność”. Z dzikiej polski zostały tylko dzikie zachowania wielu chętnych do tytułu „fotografa przyrody”, a fotografem przyrody zostaje się natychmiast po zrobieniu zdjęcia trawy albo własnego psa jak robi kupę w tej trawie. W dzisiejszej technice w ciągu jednej minuty można zrobić kilkadziesiąt zdjęć i wybrać to odpowiednie. Minęły już czasy, gdy biebrzańska przyrodę odkrywali nam swoimi zdjęciami: Włodzimierz Puchalski, Wiktor Wołkow, Ryszard Czerwiński, bracia Kłosowscy czy Paweł Świątkiewicz. Ich zdjęcia to nie były tylko obrazki, ale i empatycznie przyswajalny opis przyrodniczy. Tak jak ikony w prawosławiu, obrazki, które pisano dla zobrazowania Boga ludziom niepiśmiennym. Tak zdjęcia wyżej wymienionych były odkrywaniem przyrody dla „niekumatych”. Wymagały one dużego nakładu energii i staranności wykonania. Do wielu zdjęć podchodzono wielokrotnie, czekano z nadzieją i niecierpliwością na wywołanie, żeby dowiedzieć się, że znowu wyszła „kicha.” Niektórzy z nich zapłacili za tą swoją pasję najwyższą cenę. Ta żmudna praca włożona już poza plenerem, związana z wywołaniem zdjęć, owocowała długim namysłem przed każdym następnym naciśnięciem spustu migawki.

Włodzimierz Puchalski, a miałem przyjemność być jego pomocnikiem w czasie wakacji, jako pierwszy budował „ukrycia” jak mawiał, pierwowór dzisiejszych czatowni.

Używał tylko naturalnych elementów przyrody, czasem je tylko lekko modelując. Wiktor Wołkow, zwany przez bliskich Zaklinaczem Słońca, wyjeżdżał o godzinie pierwszej w nocy z Supraśla, aby robić zdjęcia wschodu słońca w Burzynie czy Brzostowie nad Biebrzą, często motocyklem bez względu na pogodę. Zrobił ich setki, a ciągle uparcie wracał po to jedne.

Ryszard Czerwiński z wykształcenia ornitolog (drugi fakultet), siedział w upatrzonym miejscu i mówił innym: wy sobie chodźcie gdzie chcecie, ta ptaszka (akurat chodziło o zimorodka) przyleci tu do mnie sama i siądzie na tym patyczku.

Kłosowscy potrafili godzinami leżeć w mokrym zagłębieniu terenu, przykryci świerkową gałęzią aby

sfotografować na płaskim terenie gęsi czy bataliony.

Błądzić a nawet zabłądzić w biebrzańskich trzcinowiskach, nawąchać się i nasłuchać przyrody po to aby obraz, który utrwalili był wierną kopią tego co doświadczyli. Świątkiewicz przejeżdżał dziennie ok. 200 kilometrów (mieszka w Białymstoku), często po 24 godzinny dyżurze (jest lekarzem) aby ustalić miejsce i czas na to jedno wybrane ujęcie. To dzięki niemu „Carska Droga” jest dzisiaj Mekką fotografów biebrzańskich. Miałem przyjemność uczestniczenia w ich pracy, wymianie poglądów a zdarzało się również, że oni korzystali z moich życiowych doświadczeń związanych z biebrzańską przyrodą. Nie przekonali jednak mojego wrodzonego lenistwa do samodzielnej pracy. Zbyt duży to dla mnie wysiłek. Ustalił się więc między nami swoisty status quo. Ja wiedziałem gdzie, oni wiedzieli jak. I tak w plenerach podwodnych jest do dzisiaj, choć w kilku filmach są już moje ujęcia samodzielne.

Fotografia od wielu lat jest ważnym sterownikiem życia człowieka. W dobie telefonów komórkowych to dla wielu obsesja i wyścig po „moje lepsze”. Fotografia to piękne zjawisko, utrwalanie i ukazywanie piękna przyrody jest najlepszą jej reklamą, ale tylko do momentu gdy wchodzi w krąg zainteresowania pieniądze. Wówczas puszcza wszystkie hamulce i zostaje tylko gęba pełna frazesów, bo dzięki „ekologicznej” gadce o urokach przyrody, ludzie, najczęściej z wielkich miast nabierają się na dobre intencje. Krótka bo kilkugodzinna lub kilkudniowa wizyta niczego nie zmienia tym bardziej że przewodnik dba aby nikt inny, szczególnie „miejscowy” nie wchodził im w drogę i żeby ich wersja była jedyną właściwą. Są oczywiście przewodnicy, którzy chętnie a nawet często specjalnie prowadzą do miejscowych, najczęściej starszych ludzi i ci dopiero wspominkami ze swego życia uzupełniają obraz właściwie i zawsze ciekawie.

Prawdziwi pasjonaci nie zaczynają od wielkich obiektów i szpanerskich aparatów. Nie jadą na „safari” trafiając najczęściej na sprytnych „wydrwigroszy”, którzy klepią mantry o przyrodzie. Ci prawdziwi potrafili zrobić dobre ujęcia we własnych ogródkach czy nawet balkonach. Wielu wybrało służbę u „mistrzów” chcąc w ich ciepłku ogrzewać swój brak indywidualności. Cierpliwie, czasem przez wiele lat terminują, aby start swój własny zacząć już od pewnego pułapu. Wielu zaczyna od kombinowania najpierw amatorsko a potem świadomie i najczęściej chytrze. O wszystkim decyduje dusza. U zdolnych w każdym elemencie obrazu, a u wybitnych dusza jest już w wizji przed utrwaleniem obrazu i tylko doбира odpowiednie parametry. Zaczynać należy jednak

skromnie, od empatii i poznania przedmiotu fotografii. W Biebrzańskim Parku Narodowym takim kultowym i pożądanym obiektem jest łoś i wiosenne przeloty ptaków.

Wprowadzone w 2001 r. moratorium na odstrzał łośi uratowało życie wielu osobnikom, jednocześnie przybliżając ich do ludzkich ścieżek. A obecnie ludzkie ścieżki są wyasfaltowane.

W chwili obecnej łośie można spotkać nad Biebrzą wszędzie bez specjalnego wysiłku. Czują się bezpiecznie wśród ludzi, a ludzie ze swej strony też dystans skracają. Prym w tym wodzą komercyjni przewodnicy, zaprzyjaźnieni z łośiami, a nawet spoufaleri, aranżując swoją codzienność spotkań. Matyldą można nazwać każdego łośia bez poróża, bo z poróżem to już jest Mateusz lub inny Michał. Szczególnie łatwo mówić to ludziom, którzy nad Biebrzę przyjeżdżają okazjonalnie.

Taka, trochę wymuszona synantropia, nie jest potrzebna ani łośiom ani człowiekowi. „Carska Droga” jest tylko jedna i ci co na niej ze swoimi klientami urządzają „fotosafari” zaczynają się boczyć na siebie nawzajem, powoli zakreślać swoje rewiry a nawet, w celach reklamowych, dystansować innych. Wielu z nich reklamuje się na Facebooku, bo to reklama bezpłatna i bardzo skuteczna. Próbuje wydzielać strefę bezpiecznego działania jednej grupy. Niektórzy mają pretensje do wszystkich innych użytkowników drogi. Szczególnie tych co próbują robić zdjęcia z samochodu bez ich aprobaty. Próbowali nawet zablokować jej remont, posiłkując się listami ludzi z poza rejonu. Uważając, że to oni mają większe prawa niż pozostali, w tym tubylcy.

Do niedawna w okolicy: Carskiej Drogi” znalazła sobie azyl rodzina rysia. Kocur, kocica i dwójka uroczych młodych. Inwigilowani przez paparazzi w dzień i noc wynieśli się do spokojniejszego rewiru. 53 Wszechnica Biebrzańska 23 - 24.01.2016 z tematem: „Jak fotografować i filmować rzadkie i chronione” zgromadziła 160 osób. W większości fotografów i przewodników biebrzańskich tym tematem zainteresowanych.

Znani fotograficy przyrody: Tomasz i Grzegorz Kłosowscy, Romuald Mikusek, Paolo Volponi, Dorota Kycia czy Zdzisław Folga dużo mówili o etyce fotografowania.

Mówi o błędach, których sami nie uniknęli a teraz wskazywali ku przestrodze. Po raz pierwszy, ówczesny dyrektor BbPN, Roman Skąpski, przedstawił projekt odpłatnych licencji za rejestrowanie obrazów i dźwięków na terenie Biebrzańskiego Parku Narodowego. Na dzień dzisiejszy obowiązuje Zarządzenie Nr 8/2017 z dnia 24.02.2017 i tu zaczynają się schody: gdzie już park, a gdzie grunty prywatne? Kto amator a kto profesjonalis-

ta? Czyli kto może a kto nie i za ile.

Niektórzy przewodnicy poradzili sobie błyskawicznie, ograniczając swoje rajdy do „Carskiej Drogi” i terenów prywatnych, na których nie obowiązuje bilet wstępu, licencja, a co za tym idzie, również etyka fotograficzna. Wielu fotografów raz poznawszy prosty, bezpieczny i atrakcyjny „bajpas” zaczęło rozjeżdżać tereny prywatne bez jakiegokolwiek zgody właścicieli. Poruszając się często po prywatnych gruntach, w tym oziminach czy lasach. „Wyjeżdżając” w dziewiczym terenie swoimi wypasionymi terenówkami nowe drogi. Często za pomocą swoich doskonałych przyrządów optycznych dostrzegając niuanse dla innych niewidoczne, a niekiedy związane z obrazami dla których tu przyjechali. Ponieważ nie mają żadnego pojęcia o pracy rolników, zdarzają się nieporozumienia i doniesienia „do władz”. Na zwróconą sobie uwagę reagując najczęściej: jeśli twoje, to je sobie ogroź i postaw tablicę. Nierzadko pokażą „faka” lub słynny „gest Kozakiewicza.” Klasyczny paparazzi w ten sposób zawłaszczając przestrzeń publiczną, która nie ma określonych gabarytów, a jedyne ograniczenia podyktowane kulturą i przyzwoleniem społecznym.

Pieniądz łamie jednak wszelki bariery, najłatwiej te właśnie wynikające z kultury, taktu czy dobrego smaku. Tak właśnie chamstwo i prostactwo coraz bardziej decyduje o charakterze całej fotograficznej społeczności. Tobie wolno, to mnie również! Nie trzeba biletów wstępu bo to nie jest BbPN, choć nie wszyscy o tym wiedzą i płacą lub dają się nabrać na „dobroć”, że dziś jest taniej bo widzi się pasjonatów. Straż parkowa też nie reaguje, nie ich teren. Właściciele terenów, na których „pasie się” się zwierzęta chroniona prawem w Biebrzańskim Parku Narodowym nie są w stanie powstrzymać tej nachalności, wielu nawet nie próbuje. Rolnikom nie wolno bez specjalnego zezwolenia z RDOŚ płoszyć zjadającą ich wysiłek zwierzyinę. Taka zgoda kosztuje i jest przesunięta w czasie a gęsi czy żurawie zjedzą w ciągu jednego dnia przysze plony i odlecą w swoim kierunku.

Nikt natomiast nie egzekwuje takich zachowań od turystów czy fotografów przyrody po za terenem parku.

Niczym nie związani z terenem, przyjeżdżają i odjeżdżają wtedy kiedy im się podoba. Nie obowiązują tu parkowe zasady. Niektórzy nawet oburzają się, że ich sesje fotograficzne zakłócają rolnicy wykonujący swoje obowiązki. Wiele terenów prywatnych stanowi enklawy w obszarze parkowym, a tam można wszystko ponieważ tereny prywatne bez zgody właściciela czy zarządcy nie mogą być objęte ochroną. Wielu z nich wklada „na wabia” szczątki czy padlinę dzików, a to jest bardzo niebezpieczne ponieważ ustalono, że ptaki również są nosicielami ASF-u.

W dobie dostępności internetowej, otwiera się droga do kombinacji i ingerencji w dobro przyrody pod przykrywką pomocy dla niej samej. Kiedyś, zwracając uwagę podjeżdżającemu za łośiem fotografowi, że goni to zwierzę usłyszałem odpowiedź: ja go nie gonię, ja tylko jadę za nim. Jest to typowa, najczęściej świadoma wymówka usprawiedliwiająca swoje zachowanie jak również niewinna odpowiedź na drażliwe pytanie.

Symboliczną ofiarą zachowania paparazzi była księżna Diana zatrudniająca na stałe ochroniarzy przed tym współczesnym natręctwem. Zwierzęta nie mają takiej możliwości, a wszyscy, których spotykam w ich pobliżu są zapewne „miłośnikami przyrody”. W tym roku paparazzi przegonili rodzinę rysy, wystarczył jeden post, że są w okolicach Carskiej Drogi i dokładna penetracja terenu doprowadziła do emigracji w poszukiwaniu spokoju. Klępa z dwoma łośakami, wpędzona między tor kolejowy a drogą Białystok-Ełk, jakimś cudem tylko przeżyła. Coraz więcej przewodników biebrzańskich organizuje bezkrawne łowy zwane fotosafari - na zwierzęta objęte ochroną, które tak naprawdę bezkrawne są tylko dla paparazzi. Sama obecność ludzi i pojazdów w terenie gdzie ich być nie powinno skłania zwierzęta do zwiększonej obserwacji swojego otoczenia a co za tym idzie do stresu. Na zakończenie chciałbym zwrócić uwagę tym, którzy nie zawsze są świadomi obecności łośi, gęsi czy żurawia na oziminach. Te zwierzęta tam spożywają swoje posiłki, a podobno nawet psu nie należy przeszkadzać w czasie jedzenia.

Kwiecień 2019

Meandertalcyk Biebrzański

Ludzie...

Pejzaż i przyrodę Podlasia oswajał człowiek zamieszkały pośród bagnistych olsów i podmokłych łąk. Surowa natura stawiała mu twarde wymagania, ale to właśnie uczyniło krajobraz kulturowy Biebrzy niepowtarzalnym i ascetycznie pięknym. Człowieczy ślad w krajobrazie to płoty, wykaszane łąki, groble, kiedyś malownicze stogi. Teraz drewniane płoty nikną z nadbiebrzańskich przestrzeni, stuletnie groble powoli rozmywa woda. Tradycja jednak jeszcze trwa, bo przecież, wciąż jeszcze Biebrzę latem przepływają w drodze na nadrzezne pastwiska brzostowskie krowy. Ten utrwalony przez kolejne pokolenie zwyczaj wpisał się malowniczo w nadbiebrzański pejzaż. Ptakom i łośiom to nie przeszkadza, wręcz przeciwnie, to właśnie krowy spełniają tutaj rolę kosiarek po-

wstrzymujących zarastanie nadrzeznych łąk. Na tak poprzycinanych łąkach mogą gniazdować i wyprowadzać lęgi liczne gatunki ptaków, a wędrowiec, taki jak ja, nasyca duszę rozległą, otwartą po horyzont przestrzenią. Ludzie przez wieki, pływali rzeką, łowili ryby, wypasali konie i krowy, kosili łąki. Tak i pozostało. Zmiany są jednak widoczne, malownicze stogi pozniwały z łąk nadbiebrzańskich. Zamiast nich na łąkach pozostają bele sianokiszonki, pstrzące pejzaż tak, jak muchy oblicze najjaśniejszego w opowieści o dobrym wojaku Szejku. To dlatego warto utrwać w fotografii zanikające piękno podlaskiej wsi, zanim jeszcze wszystkich koni, krów nie pozamyka się w klimatyzowanych oborach, a drewnianych płotów nie zastąpi wyrobami „made in China” zakupionymi w pobliskim markecie.

Igor Iwaszko

igoriwaszko.blogspot.com



Wiosna nad wodą

Przedwiosenne roztopy pozostawiły w tym roku po sobie całkiem okazałe rozlewiska. Również ptaki wydawały się być z tego powodu bardzo zadowolone, gdyż z każdym dniem przybywało przedstawicieli kolejnych gatunków. To pojawiła się para hałaśliwych rycyków, a to kszyc oznajmiał swoim "tike, tike", że jest na swoim terytorium. Gdzieś rozległ się melodyjny głos krwawodzioba.



Nad wodą gwar, w powietrzu gwar - wiosna wydawała się eksplodować ptasimi głosami. Przybyło również kaczek i to właśnie one interesowały mnie w tym sezonie fotograficznym najbardziej.

Woda powoli zaczęła opadać, pojawiły się pływaczki i wysepki, na których żerowały siewkusi i przesiadywały kaczki. Każdego kolejnego dnia zaczęły się również odizolowywać starorzecza i te miejsca ptaki upodobały sobie najbardziej. Rekonesans w terenie i lustrowanie lornetką poszczególnych miejscówek przyniosły całkiem ciekawe obserwacje. Już wiedziałem, które miejsce spełnia moje oczekiwania i najlepiej nadaje się na zbudowanie ukrycia.

Popołudniu, ubrany w wysokie spodniobuty, zabrałem niezbędny sprzęt, namiot, siatkę maskującą i udałem się w miejsce, gdzie miałem spędzić kilka kolejnych poranków. Oczywiście byłoby zbyt pięknie, gdyby poszło łatwo. Po wejściu do lodowatej wody okazało się, że dojścia do wymarzonej zatoczki nie ma - starorzecze było zbyt głębokie. Jeśli nie tu, to trzeba spróbować z drugiej strony. Na szczęście tam już okazało się płycej. To właśnie w tej zatoczce, przy niewielkim, porośniętym krzakami cypłu, spędza poranki całe to kacze towarzystwo, które jest celem mojej wyprawy.

Kiedy dobrnąłem już na miejsce, okazało się, że jest idealnie. Krzaki, do których można "dobudować" kryjówkę stanowiły świetną osłonę. Niski, jednoosobowy namiot, nakryty siatką maskującą, obrzucony naręczem suchego zielska, doskonale wtopił się w otoczenie i nie powinien wzbudzać podejrzeń ptaków. Stanowisko gotowe - nic tylko siadać. A właściwie to się kłaść. Powrotna droga okazała się już dużo łatwiejszą, więc bez większych niespodzianek wróciłem do samochodu.

Zasiadkę zaplanowałem na kolejny dzień, jednak, jak to zwykle bywa, pogoda totalnie pokrzyżowała moje plany. Wiosenna ulewa, która zaczęła się już nocą i trwała przez cały dzień skutecznie zatrzymała mnie w domu. Ale takie dni też są potrzebne. Przynajmniej można zrobić nieco porządków w archiwum fotograficznym. Na szczęście jutro ma być lepiej, oby tylko poziom wody zbyt szybko się nie zmienił.

Następny poranek, rozpoczęty od przywitania się z jak zawsze bezlitosnym i okrutnym dźwiękiem budzika przyniósł piękną, wyżową pogodę. Właściwie nie tyle był to poranek, co praktycznie środek nocy, z czarnym, idealnie wygwieżdżonym niebem. Nie ma co się ociągać. Szybka kawa, termos z herbatą, kanapki, sprzęt fotogra-

ficzny do samochodu i jazda w teren. Po kilkunastu minutach byłem już na miejscu. Plecak ze sprzętem, karimata, statyw, spodniobuty - sporo tego. Oby tylko niczego nie zapomnieć. Trasa do czatowni przez rozlewisko - niby dobrze zapamiętana, jednak nocą zawsze jest trudniej, a kąpiel z aparatem w lodowatej wodzie nie należy do najprzyjemniejszych przygód. Doskonale zdając sobie sprawę z tego, że dotarcie do ukrycia nie pójdzie tak łatwo jak w dzień, uwzględniłem dodatkowy zapas czasu, żeby nie przyjść za późno i nie zepsuć poranka.

Odetchnąłem z prawdziwą ulgą, w momencie, kiedy poczułem pod stopami stały, suchy grunt przy krzakach, w których była ukryta moja buda. Teraz tylko wczłochać się z tym wszystkim do środka i można czekać na dalszy rozwój wydarzeń. Pływaczka na przedpolu czatowni to tylko miejsce żerowania. Ptaki zwykle spędzają noc na wysepkach, lub w przypadku kaczek na głębszej wodzie, więc udało mi się swoim nadejściem niczego nie spłoszyć. Cisza i ciemność roztaczające się wokół działały mocno usypiająco. Nawet nie wiem kiedy straciłem kontakt z rzeczywistością. Czatownie, w których się leży mają wiele zalet, jednak największą ich wadą jest to, że łatwo w nich zasnąć.

Z tego nieprzyzwoitego, jak na zasiadkę stanu wyrwał mnie nagle dość bliski chłopot wody i głośnie kwakanie. Nie było wątpliwości, że wylądowały pierwsze kaczki. Jak to dobrze, że tak beceremonialnie zameldowały swoje przybycie. Półprzymotnym wzrokiem rozejrzałem się przez szczelinę w ścianie budy i ze zdziwieniem stwierdziłem, że już całkiem wyraźnie widać rozlewisko i zarysy sylwetek ptaków. Chociaż do wschodu słońca pozostało jeszcze sporo czasu. Jeszcze większe było moje zdziwienie, kiedy dostrzegłem jakiś ruch na najpłytszych miejscach. Okazało się, że nie tylko krzyżówki są już na miejscu. Kilka metrów przed budą, pewnie już od dłuższego czasu brodziła żerując para długodziobych rycyków. Pogratulować czujności panie fotograf.

Na szczęście na zdjęcie było jeszcze zbyt ciemno, a aparat pokazywał stanowczo za długie czasy naświetlania. Ale jeszcze kilkanaście minut i będzie można zrobić pierwsze zdjęcia. Te kilkanaście minut upłynęło dosyć szybko, a rycyki na szczęście nie odleciały. Zajęte żerowaniem podeszły jeszcze bliżej, pozwalając na wykonanie serii zdjęć. Nagle sesję przerwał świst skrzydeł i fontanny wody, które wywołało spore stado kaczek lądujących w pobliżu. Kolejne krzyżówki? Charakterystyczne gwizdy rozwiły wszelkie wątpliwości - na arenie pojawiła się grupa świstunów. Brązowe kaczki i

Drogi...



Drogi, nie te sterylne i równe, raczej te bez drogowskazu, te dziurawe i blotniste, rozplywające się w otwartej przestrzeni, prowadzące w pustkę, w dal, w nic. Muszą być ascetyczne w wyrazie i mieć szorstką fakturę ziemi, torfu i wody. Zrosły się z otaczającymi je lasami i łąkami w symbiotyczną całość. Na takich drogach pojawiają się nie tylko ludzie, także i zwierzęta - łosie, łabędzie, rybitwy, wędrowcy, dla

których śródpolne drogi i groble nadrzeczne wpisały się w ich własną przestrzeń życiową. Bywało, że zwierzęta i ludzie wykorzystywali te same ścieżki i trakty, bez szaleńczego pędu, każdy swoim rytmem i o swoim czasie. Człowiek poruszał się furmanką, pieszo, konno, bez opętającego rozpędu XXI wieku. Nie gnał, jak obecnie, w wyścigu nie wiadomo, dokąd i po co, ot, taki pęd dla pędu, najlepiej w rozgorączko-

wanym tłumie. Przydrożne zwierzęta pozostały na szczęście takie same, jak przed wiekami. Pozostały też na Podlasiu drogi i groble, które zachowały swój nieśpieszny rytm. Takie drogi przyciągają i kuszą. Najlepiej przemierzać je samotnie i w ciszy, bowiem wszystkie one prowadzą w głąb duszy wędrowca.

Igor Iwaszko
igorwaszko.blogspot.com

pięknie wybarwione, rdzawogłowe kaczory natychmiast przystąpiły do żerowania. W międzyczasie doleciało również kilka kolejnych rycyków, a nieco dalej wylądowała grupa rożeńców. Prawdziwy ptasi raj. Jakby na potwierdzenie tej myśli, z dźwięcznym pogwizdywaniem wylądował przed budą krwawodziób, więc już po chwili obiektyw był wycelowany w jego kierunku. Oby tylko zapas kart i baterii wystarczył, bo zaczyna być coraz ciekawiej.

Brodziec postął przez chwilę czujnie obserwując otoczenie, po czym zabrał się do żerowania. Zanurzając dziób w płytkiej wodzie pracowicie przeszukiwał podłoże w poszukiwaniu różnych ptasich przysmaków. Słońce, które już od około 20 minut było powyżej linii horyzontu pięknie oświetlało ptaki i całe rozlewisko. W jego promieniach nasada dzioba brodzca lśniła, jakby rzeczywiście była zakrwawiona. Nic dziwnego, że została mu przypisana taka nazwa gatunkowa. Ptak jeszcze przez chwilę penetrował dno, po czym zanurzył się cały w wodzie i rozpoczął poranną kąpiel, trzepocząc przy tym skrzydłami i rozbrzgując krople we wszystkich kierunkach, dając okazję do kolejnych zdjęć.

Kiedy krwawodziób postanowił odlecieć, powróciłem do grupy kaczek, które nadal intensywnie żerowały w pięknym świetle, połyskując białymi kuprami podczas nurkowania. Przesuwając obiektyw na kolejne ptaki, nagle zatrzymałem się na jednym, niewielkim osobniku, który wyraźnie odróżniał się od pozostałych kolorystyką upierzenia. Brązowozielona głowa z beżową, nakrapianą pierśią, na skrzydle połyskujące zielono-czarne lusterko. Jest! Wreszcie jest upragniona, wymarzona cyraneczka, ze swoim pięknym makijażem. Kaczorek spokojnie pływał zaledwie kilka metrów od budy wśród świstunów i również co jakiś czas zanurzał się, wydobywając spod wody jakieś przysmaki. Aparat intensywnie pracował, rejestrując kolejne obrazy na matrycy. Dla takich poranków warto wstać w środku nocy.

Jeszcze nie nacieszyłem się spotkaniem z cyraneczką, a już w pobliżu dał się słyszeć charakterystyczny terkot, oznajmiający, że gdzieś tu jest przedstawiciel kolejnego gatunku. To odezwał się samiec cyranki. Wkrótce i jego udało się namierzyć obiektywem i zrobić kilka ujęć w nadal całkiem przy-

jemnym świetle. Stojący na bardzo płytkiej wodzie lśnił w słońcu i pięknie prezentował się z tą swoją białą brwką odchodzącą od oka w tył głowy.

Nagle nad wodą zaczęło dziać się coś niepokojącego. Dotychczas spokojnie żerujące ptaki wyraźnie się ożywiły i jak na komendę z wielkim hałasem i chłupotem wody zaczęły zrywać się i odlatywać z rozlewiska. Gwarne dotychczas miejsce w kilka minut zupełnie opustoszało. O co chodzi, czyżby ktoś pojawił się nad wodą i spłoszył ptaki? Już po chwili zagadka się rozwiązała. Na szczycie rozłożystej, suchej wierzbysy usiadła para dorosłych bielików i to one były sprawcami ptasiego popłochu. Drapieżniki posiadziały kilkanaście minut, po czym odleciały, żeby pewnie zapolować w innym miejscu.

Słońce było już dosyć wysoko i dawało mocne, mało plastyczne świa-

tło. Poza tym oprócz pary rycyków nic więcej nie wróciło jeszcze na pływaczkę. Najlepszy to czas, żeby opuścić swoje ukrycie. Poranek zresztą był tak owocny, że dawno takiego nie miałem. Szybkie pakowanie sprzętu do plecaka, karimata, statyw i już można wracać do samochodu. Powrotna droga w pełnym świetle jest jak zwykle zdecydowanie łatwiejsza, zwłaszcza, jeśli wraca się po udanym poranku. Dochodząc do miejsca, w którym zaparkowałem, jeszcze raz oglądam się za siebie na opustoszałe rozlewisko i wiem jedno. Na pewno jeszcze tu wrócę.

Tekst: Łukasz Łukasik

Foto: Magdalena Sarat

Do obejrzenia większej ilości zdjęć zapraszamy na strony internetowe:

www.fotoczaty.pl

www.magdasarot.com

www.lukaszlukasik.com



AGROTURYSTYKA

Tu bije serce Biebrzy...



u Wilka

www.gugny.wirtualnabiebrza.pl

M.G. Wilczewscy - Gugny 7 (przy Carskim Trakcie)

tel. 785 880 349

Dereń w modnej, wiosennej szacie



Przedwiośnie. Suche trzciny wystają ponad niebieskawe wody i łowią śmiałe promienie słońca. Biebrzański pejzaż zaprasza do kontemplowania przyrody. Wzrok przyciąga dereń - wiosenny elegancik. Pustego żółtka wiosną nie nasyci, ale może opowiedzieć emocjonującą historię swoją i swojej licznej rodziny.

Dereń o jaskrawo czerwonych gałęziach na wiosnę, a czerwono-fioletowych jesienią to przybysz z dalekiego wschodu - z Syberii, Mandżurii i Korei. Te czerwone gałęzie mają w środku biały rdzeń, wydają żółtawo-białe, miododajne kwiaty i białe, czasem aż niebieskawo-białe owoce. Być może dlatego nazwa gatunkowa brzmi - dereń biały, chociaż to zwykle dla czerwonych pędów sadzony jest z upodobaniem w parkach i ogrodach. Mimo, że atrakcyjny w swojej rodzinie nie jest najbardziej popularny.

To dereń właściwy, nazywany też jadalnym zdobył serce i żołądki mieszkańców Europy. Nie mówiąc o tym, że i w licznych głowach mocno nakręcił jeśli był podawany w formie „dereniówki królewskiej”, którą gospodarze we dworach częstowali swych najznamienitszych gości jeszcze do II wojny światowej. W przeciwieństwie do białego, dereń jadalny ma żółte, nieprzyjemnie pachnące kwiaty i czerwone... owoce. Archeolodzy znaleźli dowody, że na terenie Włoch ludzie żywili się nimi ponad 3000 lat temu. A do tego skrzętnie wykorzystywali ich właściwości lecznicze przy dolegliwościach żołądkowych, anemii, szkorbutcie, w chorobach nerek i dróg żółciowych. Owoce podawano podczas I wojny światowej chorującym na szkorbut żołnierzom rosyjskim. Mieszankę wywaru owocowego z dodatkiem miodu lub surowego żółtka aplikowano przy biegunkach. Do dziś preparaty z derenia stosowane są w przypadku tyfusu. Mimo tylu zdrowotnych właściwości rzadko jedzono surowe owoce, nawet gdy ich kwaskowaty smak poprawiał się po przymrozkach. Częściej zapobiegliwie gospodynie przygotowywały z nich syropy, soki, konfitury, ale też octy i nalewki. Nie całkiem dojrzałe były kiszone, a następnie zalewane oliwą. Tak przyrządzone w smaku przypominały dzisiejsze oliwki. Wiosną ze świeżych pędów derenia sporządzano wzmacniające herbatki, a po ucztach korą odłupaną z kwitającego drzewka, czyszczono zę-

by. Wywarem z kory płukano usta przy zapaleniu dziąseł, okładano czoło i skronie przy migrenach. Na trądzik młodzieńczy i na ropne wypryski przy tłustej cerze nakładano wywar z owoców zmieszany z mąką owsianą.

Za wartościowe uznawano również drewno derenia. Podania głoszą, że Romulus zakładając Rzym nakreślił jego granice włócznią z derenia. A już na pewno wiadomo, że w Norymberdze znajduje się zegar wykonany z derenia, w gruzińskim muzeum historycznym miecz o dereniowej rękojeści. Z twardego dereniowego drewna strugano czółenka do krosien, zakończenia i główki do lasek.

Mimo, że nieco w Polsce zapomniany dereń doczekał się międzynarodowego festiwalu, który odbywa się w Bolestraszcach koło Przemyśla wśród 280 okazów rośliny. Podczas gdy przez wystawców prezentowane są liczne jego odmiany w ogrodach Arboretum można zobaczyć ich rosnące odpowiedniki. Być może festiwal pozwolił z powrotem rozpropagować to mrozoodporne, nie atakowane przez szkodniki drzewko dobrze radzące sobie z atmosferycznymi zanieczyszczeniami. Jeśli tak największe korzyści będą mieć z niego nasze dzieci albo i wnuki, bo z młodych dereni można zebrać ok. 20 kilogramów owoców, ale z 50-letnich nawet do 150kg.

I tak rodzina dereniowatych była by pozytywnym bohaterem mojej opowieści gdyby nie podgatunek derenia białego, inwazyjny dereń rozłogowy.



Tak blisko spokrewniony, że botanicy wciąż toczą dyskusje czy to aby na pewno dwa gatunki. Ten pochodzący z Ameryki Północnej krzew, którego gałęzie ukorzeniają się w każdym miejscu styczności z ziemią tworzy szerokie kępy. W ten sposób szybko opanowuje nieużytki i nie zagospodarowane tereny. Podobno nad Biebrzę przybył

w trakcie budowy Twierdzy Osowiec jako roślina maskująca budowle forteczne i od tej pory skutecznie się rozprzestrzeniła.

Pewnie byłoby mu łatwiej gdyby nie losie, zimą i wiosną chętnie obgryzające jednoroczne pędy eleganckiego drania.

Danuta Bener

Znakomitą alternatywą dla drogiej nieruchomości i jeszcze droższego budownictwa jest domek, dedykowany przez naszą firmę wszystkim którzy cenią sobie ciasne, ale własne, przytulne cztery kąty.

Proponujemy domy wykończone „pod klucz”, a w aranżacji wnętrza może brać udział każdy potencjalny, przyszły jego mieszkaniec. Obiekty są wyposażone we wszystkie media, kompletną łazienkę, toaletę, a całą resztę urządzamy wg Państwa potrzeb i życzenia.




606 588 217
MOJDOMEK.PL



LEGENDY BIEBRZAŃSKIE SKARB

Twierdza Osowiec wśród wielu tajemnic, skrywa też niejedną, związaną z mniejszym lub większym skarbem.

Przez przeszło sto lat przewinęło się tu dziesiątki tysięcy żołnierzy i innych osób. Była ona milczącym świadkiem dwóch wojen światowych i walk w 1920 r. - każdy przysłowiowy metr ziemi na terenie tej warowni jest przeorany pociskami i splamiony krwią ludzi w mundurach. Ginęli oni w większości bezimiennie. Wiemy tylko, że byli to między innymi Rosjanie, a nawet Włosi.

Niżej opisane zdarzenie miało miejsce podczas pierwszej wojny światowej, w sierpniu 1915 roku. Po prawie rocznej, dzielnej obronie twierdzy, załoga rosyjska otrzymała rozkaz jej opuszczenia. Ewakuacja odbywała się głównie szosą prowadzącą do Grodna. Część żołnierzy miała za zadanie przedostania się w głąb Rosji linią kolejową prowadzącą przez Białystok. Niektórym nawet - udało się.

Niestety, w krótkim czasie. Niemcy opanowali okolice Knyszyna. Została odcięta dogodna droga ucieczki. Los sprawił, że w tym czasie w rejonie miasteczka przebywał jeden z pułków broniących wcześniej Osowca. Został on zmuszony przez wojska niemieckie do odwrotu. W grupie uchodzących z tego miejsca znalazł się pewien rosyjski żołnierz, który wioząc bryczką czterech oficerów sprawujących pieczę nad kasą pułku. Jechali okorną trasą, wybierając przeważnie leśne bezdroża. Przez dłuższy czas ich podróż przebiegała bez większych problemów. Dopiero parę kilometrów za Laskowcem dało się słyszeć odgłosy przybliżającego się frontu. Kanonada artyleryjska wywołała zdenerwowanie wśród oficerów. Zaczęli coś do siebie szeptać. Po krótkiej naradzie podjęli, jednomyślną decyzją zszedli woźnicę i nakazali mu czekać w przydrożnych krzakach. Sami odjechali w kierunku lasu. W międzyczasie szrapnele zaczęły rozrywać się coraz bliżej. Woźnica nie wiedział co ma robić. Na szczęście po kilkunastu minutach ujrzał ponownie przelożonych. Wrócili już bez skrzyni. Nie dane mu, jednak dalej z nimi podróżować. Na jego oczach jeden z pocisków trafił w bry-

czkę, do której weszli oficerowie - wszyscy zginęli gwałtowną śmiercią. On sam długo jeszcze błąkał się po bagnach, aż wreszcie dotarł do swoich. Tam zdał relację z przebiegu zdarzenia. O mały włos nie oskarżono go o kradzież rubli. Jednakże udało mu się wyjść z tej opresji cało.

Minęło wiele lat. Za okupacji mieszkańcy wiosek często widywali żołnierzy, którzy czegoś tu szukali. Nikt nawet nie domyślał się prawdziwego powodu. Tłumaczyli to kolejną akcją przeciwko polskim partyzantom.

Z czasem nastał całkowity spokój. Jednak na początku lat sześćdziesiątych znowu zaczęli się pojawiać obcy. Stało się to za sprawą pogłoski o skarbie, która rozpowszechnił jeden z mieszkańców wsi. Jego wiedza była oparta na informacji uzyskanej od pewnego Rosjanina, który mieszkał przez wiele dni w jego domu. Być może nie doszłyby do wyjawienia sekretu, gdyby nie przypadek. Zdarzyło się to podczas suto zaprawionej kolacji.

Ów obcokrajowiec wycierając usta, wyciągnął z kieszeni chusteczkę. Nie spostrzegł nawet, że coś upadło na ziemię. Była to kartka ze szkicem drogi i pobliskiego terenu. Zaciekawilo to gospodarza. Długo nad tym zastanawiał się, aż zebrał się na odwagę i zapytał wprost o powód posiadania takiego rysunku. Wtedy dopiero usłyszał historię o kasie pułkowej. Było w niej tyle autentyczności, że od razu zgłosił swój akces do poszukiwań. Szukali przede wszystkim w charakterystycznych punktach. Widzieli, że kasa została zakopana z pełnym przemyśleniem. Ich zdaniem musiał tam znajdować się odpowiedni znak rozpoznawczy, choćby jakiś duży kamień, drzewo, czy coś podobnego. Niestety czas zrobił swoje. Ślady stały się nieczytelne. Z tego też powodu, po kilku dniach zaniechali dalszego kopania.

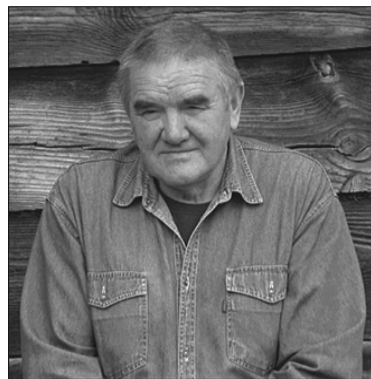
Miejsce ukrycia skarbu, pomimo wielu późniejszych prób zlokalizowania jest do dziś owiane tajemnicą. Jedynym argumentem przemawiającym za jego istnieniem są resztki rozbitej bryczki oraz śladowe informacje na temat znajdujące się w archiwach rosyjskich. Wiadomo tylko, że w kasie były ruble, a cała skrzynia ważyła dwa pudry, czyli 32,76 kg. Nawet jeśli skarb tkwi gdzieś w ziemi, to i tak tylko przypadek zapewne sprawi, że ktoś go odnajdzie.

(źródło: zasoby Internetu)

ZnadBiebrzy.pl

Daj mu Panie pokój... z widokiem na Biebrzę...

27 MARCA 2012 r. ODSZEDŁ WIKTOR WOŁKOW



Wyruszę pod koniec marca... tak się ostatnio umówiliśmy. Czekałem cierpliwie i byłem pełen nadziei choć komunikaty lekarskie przerażały. Wyruszył sam, ale niedaleko, tylko za firankę delikatną, tiulową przez którą przetrwał całe życie na tamtą stronę, nam niedostępną. Zawsze miałem wrażenie, że jego obiektyw przebija jakąś błonę oddzielającą dwa światy, pozornie jednakowe. Wtopił się wreszcie w naturę do której dążył uparcie pod przykrywką robienia zdjęć. Nie wszyscy mieli szczęście to zrozumieć. Zdjęcia robione obiektywem Wołkowiaka mają w sobie spokój naturalny, nastrój chwili tam właśnie panujący.

Ten lokalny czy może terytorialny patriota nie nosił zegarka i dlatego miał więcej czasu (ja uważam, że cierpliwości) jak mawiał, na swoje misteria fotograficzne, które często omawiali-

my na ganku domku w Uścianku, gdzie często wypijał pierwszą poranną herbatę, ponieważ jego dzień zaczynał się jeszcze nocą. Mało kto jednak wie, że był pierwszym białostoczaninem, który próbował z powodzeniem robić zdjęcia pod wodą, stąd nasze pierwsze znajomości. Ja byłem wtedy na etapie ślepej fascynacji nurkowaniem a on ten cudowny świat potrafił już zrozumieć a nawet utrwalić.

Zamienił życie na fotografię bez udawania i ozdobników. Fotografował tylko czyste, często siermiężne życie, dostrzegając w nim to co inni dopiero mieli zobaczyć po latach. Nigdy nie wybierał mniejszego zła, zło nie ist-

niało i tu się zgadzaliśmy. Jego spokój pogoda ducha były wręcz zaraźliwe, on widział dobro przez swój czarodziejski obiektyw, a ja przez wrodzoną naiwną ufność. Różniliśmy się cierpliwością, której ja nigdy nie miałem, ale może właśnie dzięki temu jeszcze się spotkamy. On będzie cierpliwie czekał ja będę gwał na złamanie karku, jak najprędzej za tą samą delikatną tiulową firaneczkę.

Z biebrzańkiego biotopu zginął cały gatunek, którego był jedynym przedstawicielem. Pozostali tylko „pstrykacze.”

Uścianek 31 marca 2012

Meandertalcyk Biebrzański



MIKOŁAJ SAMOJSKI
(1934 - 2003)

- wielki miłośnik Biebrzy i biebrzańskich bagien, podróżnik, poszukiwacz ciekawych miejsc i legend z nimi związanych (Legends Biebrzańskie).

Współorganizator Towarzystwa Biebrzańskiego. Jego dążeniem było "zabiebrzanie" wszystkich napotkanych ludzi. Autor dziesięciu książek tematycznie związanych z Biebrzą. Członek Związku Literatów Polskich.
Pisał: "Szczęśliwi ludzie znad Bie-

brzy. Chyba tak. Biebrza nosi w sobie coś, czego nie da się namalować, opisać, ująć obiektywem aparatu fotograficznego. Dotyka ona ludzkiej głębi, naszej pierwotności.

Nigdzie tak, jak nad Biebrzą nie możemy "pomacać" swojego wnętrza, odnowić się. Gdy tracimy w życiu równowagę, gdy nam się kończą drogi, to wtedy warto przybyć na biebrzańskie bezdroża, przejść się po dzikich trzcinowiskach."

IRON GREEN

IRONLINE
INTERBUD

INSTALACJE HYDRAULICZNE
INSTALACJE FOTOWOLTAICZNE
KOLEKTORY SŁONECZNE

tel. 505 803 610 Zwycięstwa 26 C, lokal 9, Białystok

PROGRAM CZYSTE POWIETRZE WNIOSKI, PROJEKTY I WYKONANIE

To ty udajesz, że jesteś ortopedą, a tak naprawę to żyjesz z hodowli krów! Widziałem twoje stada w telewizji! - telefon od znajomego trochę mnie zaskoczył, a potem sobie przypomniałem, jak do tego doszło.

MOJE BIEBRZAŃSKIE KROWY

Paweł Świątkiewicz

Któregoś dnia, korzystając z wolnego dnia przysługującego po ostrym dyżurze, wybrałem się nad Biebrzę - wcześniej niż zwykle i na dokładkę „w środku tygodnia. Nie traciłem czasu na posiłek w domu, postanowiłem zjeść coś na miejscu. Przebrałem się tylko w mój strój terenowy, stary poszarpany płaszcz wojskowy armii holenderskiej, gumofilce, kapelusze, wsiałem w samochód i dojechałem mniej więcej po godzinie do Goniądza.

Tam zakupiłem standardowe śniadanko, czyli śmietankę, żółty ser i bułki, zjechałem na most na Biebrzę, zatrzymałem się tuż za mostem i na masce rozłożyłem zakupy. Ponieważ nie ciekawego się nie działo, patrzyłem beznamiętnie po łąkach, na których pasło się na pierwszej trawie kilkadziesiąt szczęśliwych krów.

W pewnym momencie usłyszałem warkot samochodu, który zatrzymał się tuż za moimi plecami. Kątem oka zobaczyłem napis TVN namalowany na drzwiach. Nie dziwnego, stałe się po największym polskim parku narodowym snują jakieś ekipy filmowe. Spotykałem je już i to po kilka dniem. Ktoś wysiadł z samochodu, podszedł do mnie z tyłu i zagadnął: - *Dzień dobry gospodarzu.*

Obejrzałem się i kulturalnie odpowiedziałem: - *Dzień dobry.*

Gość w eleganckim ubranku prosto ze sklepu, buty z goreteksu, kurtka czarna, wyekwipowany jak się patrzy.

- *Czy wiecie gdzie tu jest taka wioska Stójka, bo podobno tam mieszka staruszek, który pamięta i może*

opowiedzieć jak się pasalo krowy na Biebrzy? - zapytał.

Pomyślałem sobie - kpi czy a drogę pyta. Raczej te drugie. Wytłumaczyłem mu jak dojechać do Stójki i pomyślałem, że to koniec moich kłopotów. Ale nie, gość postanowił zafundować mi gimnastykę intelektualną i zadał kolejne pytanie:

- *A to wasze krowy gospodarzu? Na odczepnego odpowiedziałem, że tak, te wszystkie krowy są moje.*

- *A moglibyście parę słów powiedzieć do kamery?*

Rozejrzałem się do kogo, oprócz mnie, mówi i odpowiedziałem, że owszem - moglibyśmy.

No to operator rozstawił kamerę, padło kilka pytań, musiałem wytłumaczyć, po czym krowy orientują się, że już wyprodukowały dość mleka i powinny zostać wydojone, jak rykiem sygnalizują, że są już gotowe i nie mogą się doczekać itp. Interview trwało ze dwadzieścia minut. Gentleman, który mnie przepytował, poczuł się wystarczająco zorientowany w obyczajach krów i przygotowany do rozmowy z wiekowym dziadkiem ze Stójki, któremu tak znakomicie dopisuje pamięć, że aż w Warszawie o tym słyszano. Podziękował mi, następnie wsiadł z operatorem w samochód i tyle ich widziałem.

Po śniadanku, w oczekiwaniu na światło zachodzącego słońca, ruszyłem na poszukiwanie tematu. Upatrzyłem sobie kilka łosi żerujących na łąkach w okolicy Wólki Piasecznej. Pod wieczór powinny podejść bliżej drogi, więc może będzie okazja coś fajnego zrobić, a na razie trzeba odpocząć. Jak

pomyślałem, tak też i zrobiłem, nastawiłem budzik w komórce, rozłożyłem fotele i poszedłem spać. Nie dane mi było wypocząć, obudził mnie telefon od znajomego. Ze śmiechem naskoczył na mnie:

- *To ty udajesz, że jesteś ortopedą, a tak naprawę to żyjesz z hodowli krów. Widziałem twoje stada w telewizji, wydało się i już nikogo nie wprowadzisz w błąd. Ile masz hektarów?*

Na początku nie skojarzyłem tego, to mówił, z udzielonym przed paroma godzinami wywiadem. Potem sam się roześmiałem. Tego dnia po dzienniku TVN miałem jeszcze kilkadziesiąt telefonów podobnej treści. Po dziś dzień znajomi śmieją się z mojej farmy krów na Biebrzy.

SUM...

Przeglądając rzeczy do wyrzucenia, znalazłem swoje stare notatki przyrodnicze z czasów, gdy na Podlasiu praktycznie nie znano jeszcze pisma, a na Warmii - Podlasiu.

Na okładce pierwszego zeszytu (Poznańskie Zakłady Papiernicze, Cena detaliczna 61,- zł) widnieje zapis 1982.VIII.28-1984.VII.30, a na drugim (Wrocławskie Zakłady Wytwarzania Papierowych, Cena det. zł. 11,50) - 1984-XII-30-1988-XI-05.

Wzruszyłem się (choć nigdy nie byłem w tych Zakładach) i zacząłem przerzucać, nie tak jeszcze pożytkę, kartki.

Lata osiemdziesiąte, to były lata! Na dekadę przed powołaniem Biebrzańskiego Parku Narodowego i na dwie przed utworzeniem obszaru Natura 2000 „Dolina Biebrzy”, przyroda miała się dobrze, a już na pewno lepiej, niż obecnie.

Ponieważ pisałem już o zmianach, jakie przez ponad ćwierćwiecze zaszły

WYJAZD Z DOMU. ROZPOCZNIJ PRZYGODĘ.

**SKLEP
MILITARNO-TURYSTYCZNY**

ul. Hetmańska 36 Białystok
tel. 85 652 43 07

Pn - Pt 10:00 - 18:00, sobota 10:00 - 14:30

Odzież wojskowa, Oporządzenie taktyczne, Outdoor Survival, Wiatrowki, Służby mundurowe, Hamiety Alrsoft Guns, Obuwie, Noże, Odzież termoaktywna, Plecak, Strzelectwo, Latarki, Skrzynie i futerały

Od 200 zł wysyłka gratis!
WWW.SPECGEAR.COM.PL

w Dolinie, nie będę się powtarzać. Przytoczę w zamian, zapisaną w notatkach, a zasłyszana gdzieś nad Kanałem Rudzkim, opowieść o wielkim sumie, która kiedyś rozpałała wyobraźnię miejscowych rybaków i kłusowników.

Pożądali go wszyscy, ale ponieważ bestia była silna, jak żubr, nie dali jej rady, ani wędkami, ani sieciami, ani ościeniami. Próbowali nawet użyć, trotylu z osowieckiego poligonu, ale zapomnieli obciążyć, wykonaną domowym sposobem, bombę, która eksplodowała na powierzchni wody, sumowi krzywdy nie czyniąc.

Pływało więc sobie sumisko w kanale, drwiąc z poczynań, coraz bardziej zrezygnowanych, ludzi. Przystało nawet kryć się po jamach, co to je woda wypłukała w burtach i w biały dzień pojawiało się pod mostem, by ze złośliwym uśmiechem, przypatrywać się, licznie zgromadzonej, gawiedzi. I żyłby zapewne ten, sum nad sumy, do dziś gdyby nie pewien śmiałek ze wsi, której już dziś, nawet na mapach nie znajdziecie.

Przychodził ów młodzian codziennie nad kanał i obserwował, jak w

plytkiej wodzie przesuwają się cielsko przeogromne. Patrzył i patrzył i nagle wpadł na pomysł genialny, jak potwora uśmiercić. Przyczął się, któregoś popołudnia, na moście i gdy ryba znalazła się tuż pod nim - skoczył. Ścisnął sumę nogami, jak ułan konia, a rękami chwycił z całej siły za - długie na metr - wąsiska. Szarpnął się sum straszliwie i ruszył do przodu, żeby natrętnego jeźdźca zrzucić. Ten jednak trzymał się uparcie i umiejętnie pociągając za wąsy, skierował potwora w stronę brzegu. A że prędkość uzyskali olbrzymią, ryba uderzywszy z całej siły w podwodne korzenie wierzby, kark sobie połamała.

Dziesięciu ludzi trzeba było, żeby bestię z wody wyciągnąć. Mięsa na niej było tyle, że cała wieś przez tydzień nic innego nie jadła. Kiedy zaś brzuch jej rozpruła, znaleźli w nim dwie kaczki, bobra i kotwicę od łodzi.

I takie to właśnie historie działy się w Dolinie. Dziś w kanale woda nie jest już taka przejrzysta, o sumach-potworach nikt nie opowiada, a wszyscy śmiałkowicie dawno wyjechali za chlebem.

Iwona i Wojciech Gotkiewicz

Jeśli podążasz dobrą drogą i zawiedzie ona Ciebie do Jaświłańskiej Ziemi - koniecznie musisz poznać jej uroki.

Wpadniesz tu być może na krótką chwilę, ale wierzymy, że zostaniesz u nas na dłużej... Na pewno będziesz wracał i opowiesz znajomym, jakich wrażeń dostarczył Ci pobyt w samym sercu Bagien Biebrzańskich.

Wybierz zatem nasz Gościu urokliwy szlak w centralnej części Doliny Biebrzy. Spotkasz tam wieś Dolistowo - miejscowość, o której wie już wielu amatorów natury w nieskażonej postaci. W dolistowskim rynku zaskoczy Cię perła architektury sakralnej, pamiętająca osiedleńcze czasy Jaćwingów. Obok zobaczysz plażę i spojrzysz pierwszy raz na Biebrzę - z pierwszego oszołomienia w zachwyt wprowadzi Ciebie widok z mostu na bezkresne Bagna Biebrzańskie i meandrującą w szuwarach rzekę.

Spojrzysz w górę, gdzie orle za-stępy spoglądają władczo na

GMINA JAŚWIŁY NA BIEBRZAŃSKIM, SZLAKU...



Nasze Swojskie Klimaty

swoje dzikie rewiry, posłuchaj jak plusk rzeki przerywają nieznane odgłosy - może zobaczysz bataliona, herbowego ptaka Biebrzańskiego Parku Narodowego, usłyszysz żurawi klągor i zadziwisz się kwileniem z każdej kępy moczarów.

Pojedź żwirowym traktem wzdłuż Biebrzy - ona poprowadzi Cię swoimi meandrami aż po horyzont. Tam poczujesz dzikość natury wszystkimi zmysłami. A jkiedy obór zapluszczyc łopaciaszym ogonem i łos wyjdzie na szlak - nie sądź, że są to moczarowe zwidy...

Życzliwi ludzie ugoszczą Cię w swoich domach, gdzie oprócz kwilenia ptaków i soczystej zieleni sadów nie dopadną Cię żadne inne odgłosy cywilizacji.

Dostaniesz strawę, jakiej nie smakowałeś nigdzie indziej - miód z nierozpoznanych ziół i ser z zapachem łąk. Twoi przewodnicy zaprowadzą, zawiozą dorożką, popłyną z Tobą łódką - tam gdzie ślad stopy ludzkiej jest rzadziej spotykany, aniżeli tropy łosi, jeleni, dzików i odciski wilczych łap...

Dbając o teraźniejszość, nie zapominamy o tych wszystkich,

dla których nasza ziemia była prawdziwą miłością i pasją...

Którzy poświęcili się budowaniu jej piękna, a kiedy było trzeba - oddali za nią życia.

W ostatnią niedzielę wakacji odbywa się w Dolistowie nad Biebrzą, Piknik Pamięci - wspomnienie potyczki, jaką stoczyli tutaj w 1939 roku z wojskami sowieckimi, żołnierze 110 Rezerwowego Pułku Ułanów - pod dowództwem rtm Moczulskiego.

Gmina Jaświły, to przepiękne tereny Biebrzańskiego Parku Narodowego oraz jego otuliny i przyjaźni mieszkańcy - dobre miejsce do zamieszkania i zainwestowania.

Dokładne informacje uzyskasz, kontaktując się z Urzędem Gminy:

Sekretariat (centrala)

- tel. 85 716 80 01, 85 727 80 10, fax. 85 727 80 13

Wójt Gminy

- tel. 85 727 80 12 wewn. 12

Zastępca Wójta/Sekretarz Gminy - tel. 85 727 80 14 wewn. 14

e-mail: gmina@jaswily.iap.pl

Zapraszamy również do Serwisu Informacyjnego Gminy Jaświły: ug.jaswily.wrotapodlasia.pl



Ciekawe miejsca - Niezwykli ludzie

NOWA

Restauracja Dwór Bartła



- ✓ **Znakomita kuchnia**
- ✓ **Domowe obiady**
- ✓ **Wyroby regionalne**
- ✓ **Wyjątkowe wnętrza**

www.biebrza.com.pl

 **85 7380 630** **WESELA ■ IMPREZY OKOLICZNOŚCIOWE**

BHP nad Biebrzą...

INTERNETOWO I STACJONARNIE

SZKOLENIA BHP

- pracodawców oraz osób kierujących pracownikami
- pracowników administracyjno-biurowych
- pracowników na stanowiskach robotniczych
- pracowników na stanowiskach inżynieryjno-technicznych
- z zakresu 1. pomocy, ewakuacji oraz ochrony przeciwpożarowej

BHP.Pochodowicz.pl

511 797 444

10% ZYSKU ZE ZLECEŃ Z TEJ REKLAMY - NA PSIE PRZYTULISKO KRÓLA BIEBRZY!

Biebrzańskie bajki Anny Wabik

PRZYGODY BOBERKA

Podążając za Matyldą...



Od zawsze ogromnie zafascynowana jestem przyrodą, a w szczególności zwierzętami. Podlaską krainę oraz biebrzańskie bagna odkryłam 10 lat temu przez przypadkowe zrzucenie losu i tak trwa przygoda z corocznymi wypadami na odpoczynek od miejskiego gwaru.

W czasie licznych pieszych wędrówek po Biebrzańskim Parku Narodowym pojawił się pomysł na bajkę edukacyjną, a głównym bohaterem został ciekawski młody bóbr poznający okolice rodzinnego domu oraz otaczający go świat.

Od samego świtu na niebie królowa słońce. Pogoda była naprawdę wspaniała. Promyki przebijające się przez szpary pomiędzy budującymi żerem gałęziami padały coraz śmielej na pyszczek boberka.

I tak go laskocząc doprowadziły do tego, że się obudził. Czuł się całkiem niezłe, dlatego z ochotą znalazł się na świeżym powietrzu.

Przeciągnął się kilka razy, po czym zanurzył się w wodzie i powolutku podążał w stronę skraj lasu. Ostatnio nie padało i gdzieś tam ponad niebieską toń wystawały kępki traw. Po wyjściu na pole zaważał się chwilę, w którą stronę powinien dalej iść. Przypomniał sobie wycieczkę do wojowniczych ptaków oraz wczorajsze słowa Jacka.

Przedzierając się przez gęstą roślinność, podziwiał bogactwo kolorów. Rozmyślał jednocześnie o swoich rzeźbach. Tak pragnął tchnąć w nie odrobine więcej życia i kombinował, jak też przenieść barwy na drewniane klocki. Postanowił poruszyć ten temat podczas spotkania ze znajomymi.

Dopiero gdy całą trasę do umówionego miejsca przebył sam, zauważył, że wcale nie jest to tak blisko jego domu, jak mu się wcześniej wydawało. Oczekując na loszaki, zdecydował zjeść śniadanie. Jedzenia było w bród i można było wybrzydzać, co chce się włożyć do buzi.

Niektórych gatunków jeszcze nie znał i próbował nowych smaków. Podczas jednej z takich degustacji zawitali do niego przyjaciele.

- Wyglądasz już na zupełnie zdrowego! - Agatka przywitała go w taki sposób.

- Mama prosiła, abyśmy tutaj poczekali na nią i że przyjdzie po nas.

- Dziękuję, czuję się dobrze. Wdzieliście, ile tu rozmaitych przysmaków pojawiło się w ostatnim czasie? Nie wiem, jak się nazywają, ale niektóre są naprawdę pyszne - wskazując na roślinki obdarzone jaskrawymi czuprynkami na górze, zwrócił się do jej brata.

- Jacku, możesz mi podać te pomarańczowe kwiatki? Wyglądają apetycznie.

- Tak uczyliśmy się, co jest dobre i smaczne, a czego należy unikać, bo mogą być przykre konsekwencje.

- Ty, Agatko, również masz taką sytuację?

- Owszem. Chyba tak po prostu nasz gatunek ma. Jak przyjdzie Matylda, to się jej spytamy. Wyjaśni nam, dlaczego twój świat jest wielokolorowy, a nasz taki nijaki poniekąd.

- Współczuję wam bardzo... Czyli nie pomożecie mi zbyt w malowaniu figurek. Dużo czasu spędzam na rozmyślaniu nad tym. Miałem nadzieję, że poratujecie mnie jakimś pomysłem. Ech, szkoda...

Anna Wabik

(ciąg dalszy oraz inne przygody Boberka Mieszka

- na: naszeswojskieklimaty.pl)



foto Peter Scherbruk

"Wiosna to czas, gdy w przyrodzie następuje ożywienie po zimnych miesiącach, kiedy to niektóre ptaki, wykazujące się tchórzostwem przed mroźnym i śnieżnym wyzwaniem, wybierają ucieczkę do cieplejszych krajów. Pomału powracają wówczas z tych swoistych wakacji, a te, które zawitały z bardziej wysuniętych na północ krajów odlatują również do siebie. Panuje wtedy zawsze niezły rozgardiasz spowodowany tymi migracjami. Ale z każdym kolejnym dniem sytuacja wydaje się być coraz bardziej opanowana. Natura wie doskonale, co ta pora roku oznacza dla wszystkich. Zamieszanie z budowaniem gniazd, nowych nor w przypadku zwierząt, czy też rozwojem liści i potem kwitnięciem w przypadku roślin. I tak dzieje się na całym świecie.

Jednakże w okolicy bytowali pewni naprawdę wyjątkowi osobnicy. Nie należeli do licznej grupy, lecz tutejsi ludzie tak ich ukochali, że park narodowy założony na tych terenach przyjął ich za swój symbol. Lecz zanim dokładnie poznamy naszych bohaterów, cofnijmy się w tej opowieści do końca lutego.

Na nadmorskiej plaży budził się nowy dzień. Brzeg obmywały delikatne fale. Wiał słaby, wilgotny wiatr, zwany w takich regionach bryzą. Słońce powoli docierało do ziemi, by grzać ją swymi promieniami. Gdzieś tam leżały jeszcze niewielkie łachy śniegu, jednak jego godziny były już policzone. W niepamięć odchodził widok zamarznętej wody i białego puchu pokrywającego stały ląd.

Tuż za dosyć szerokim pasem złocistego piasku rozciągał się sosnowy las. Miał on utrudnione zadanie, by rosnąć w niektórych miejscach, ponieważ ten obszar charakteryzował się występowaniem licznych klifów. Tu i ówdzie stromizna była na tyle duża, że wyraźnie była zaznaczona granica pomiędzyżywioną a nieożywioną częścią świata. Na pierwszy rzut oka wydawałoby się, iż teren w ogóle nie nadaje się dla jakichkolwiek roślin. Bo co to za warunki do egzystencji. Sam piasek i nie poza tym. Jednak iglaste drzewa doskonale się tam czuły. Niedalekie sąsiedztwo słonej wody najwyraźniej też im nie przeszkadzało. Gdyby tak usiąść i bacznie nadstawić uszu, można usłyszeć, jak las i morze stanowią swego rodzaju jedność, gdy łączą się w swoim szumie - czy to fal, czy to gałęzi. Tak jest zwłaszcza w czasie jesiennej szarugi i krótkich zimowych dzionków, kiedy to niewiele zwierząt pozostaje aktywnych, a świat przestaje być zielonym od bogactwa roślin i przechodzi w czas swoistego uśpienia. Jednym słowem: odpoczywa. Trzeba jednak wyjaśnić, dlaczego ten konkretny dzień różnił się od pozostałych, skoro rozpoznać się tak zwyczajnie, jak każdy wcześniejszy.

Nic nie zapowiadało jego odmienności, aż do nagłego łopotu skrzydeł ponad plażą. Na niebie pojawiły się dwa duże ptaki. Początkowo spokojnie oblatywały niewielki rejon, rozglądając się na wszystkie strony. Lecz w pewnej chwili wydarzyło się coś, co niewprawy obserwator mógłby nawet uznać za powietrzną bójkę, a co z taką potyczką nie miało absolutnie nic wspólnego. Oba osobniki zaczęły dziwny powietrzny taniec. Jeden z nich, nieco mniejszy, kombinował przez dłuższą chwilę, zanim udało mu się zmusić tego drugiego do obrócenia się na grzbiet i połączenia z nim szponami. Całą tę scenę obserwował mały chłopiec będący na spacerze ze swoim dziadkiem. Przystanął i pociągnął staruszka za rękaw kurtki.

Tak zaczyna się opowieść o Bieliku

- autorstwa Anny Wabik.

Więcej Bajek - na:

ZnadBiebrzy.pl

CIEKAWY MIJAJĄ I NIEZWYKLI LUDZIE

naszeswojskieklimaty.pl

- tylko na:

www.facebook.com/SwojskieKlimaty

NASZE
Swojskie
WYDANIE SPECJALNE
WIADOMOŚCI LOKALNYCH
www.ZnadBiebrzy.pl
KLIMATY

nakład:
10.000 egz.

Pomysł, skład i przygotowanie do druku - **Krzysztof Pochodowicz** (pochodowicz.pl). Redaktor wydania - **Mirosław Kobeszko** (FB/Mirosław Kobeszko). Korekta: **Iwona Trzciska** (Wyszków). Serdeczne podziękowania Autorom i Reklamodawcom.

Życie w kropki...

"Był ciepły czerwcowy dzień. Słońce niedawno weszło i zaczęło oświetlać swymi promykami świat. Jeden z nich dosłownie przed chwilą padł na zielone liście jabłoni w pewnym sadzie. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że na jednej z gałęzi znajdowało się skupisko małych żółtych jajeczek. „Wielkie mi rzeczy - ktoś powie. - Co mnie obchodzi jakieś tam jajeczka...”

A według mnie powinny, bo to pierwszy etap życia pewnych bardzo pożytecznych zwierząt. Jakich? To się zaraz zacznie wyjaśniać. Najwyraźniej miał to być wyjątkowy poranek dla okolicznej przyrody. Z jaj zaczęły wylęgać się larwy, które od razu zaczęły szukać czegoś do zjedzenia. Niedaleko od ich skupiska znajdowało się siedlisko małych owadów pożywających się na soczystych liściach. Jedna z larw odłączyła się nieco od pozostałych, ponieważ wolała samotnie rozpocząć posiłek niż przepychać się wśród rodzeństwa. Jednak jej spokój zakłócił dziwny dźwięk. Zaczęła rozglądać się, co się dzieje i zobaczyła fruujące stworzenie w żółto-czarne paski.

- Kto ty jesteś? Czemu tak tu bzyczysz? Nie podoba mi się, co robisz. Poza tym ja znalazłam to miejsce wcześniej i nie chcę, żebyś podkradła stąd te smakowite kąski.

- Spokojnie. Taka mała, a taka nieuprzejma. Kto by pomyślał?! Jeśli chcesz, to ci parę spraw mogę wythumaczyć, ale najpierw musisz trochę

ochłonąć.

- Hm.. w sumie to może i dobry pomysł. Niewiele wiem, a to wszystko dookoła jest takie zagadkowe. Zastanawiam się, czemu ja jestem taka brzydka - buro-brązowa. Chciałabym być taka jak ty. Ładniejsza jesteś i umiesz latać. A ja tylko chodzę po tej gałęzi w tą i z powrotem.

- Minie jeszcze nieco czasu i nabierzesz kolorów. Musisz mi uwierzyć na słowo. Za dwa miesiące sama siebie nie poznasz. Całe twoje dotychczasowe życie się zmieni. Ale może zacznijmy po kolei różne rzeczy wyjaśniać. Nazywam się Bzyczka i jestem pszczołą. Jak widzisz posiadam kolorowe paski na ciele, a z tyłu posiadam żądło, które służy głównie do obrony. W powietrze unoszą mnie dwie pary skrzydeł. Mam wiele sióstr i braci, podobnie jak ty. Mieszkamy wszyscy razem w ulu znajdującym się niedaleko stąd w ogrodzie i stanowimy bardzo dużą rodzinę. Na jej czele stoi królowa, dzięki której każdy wie, co powinien robić. Moje zadanie polega na zbieraniu spadzi. Stanowi ona jedno z naszych źródeł pożywienia, oprócz tego jemy nektar i pyłek kwiatowy. Dlatego nie musisz się nas obawiać. Nie stanowimy dla siebie konkurencji, jeśli chodzi o pokarm.

- Co to jest ta spadź? - spytała cicho larwa. - To słodki płyn pojawiający się latem na niektórych drzewach. Ma on postać kroperek i składa się z soków roślinnych ze zranionych liści oraz z wydzieliny mszyc. W ulu robimy z nie-

go miód, który bardzo chwala sobie ludzie. - A kim są ludzie? Czy mszyce to te robaczki, które zjadam?

- Ojej, masz tyle pytań, a ja nie zauważyłam, że już tyle czasu minęło. Przepraszam cię, ale muszę lecieć do domu. Pojawię się tu później albo jutro koło tej pory, to znów porozmawiamy. Trzymaj się i smacznego!

- Dziękuję, pa!

Po chwili Bzyczka już była daleko, a brązowe stworzonko wróciło do przerwanej posiłku. I tak minął jej dzień do zachodu słońca. Gdy na dworze zaczęło się ściemniać i nastąpiła noc, larwa grzecznie poszła spać. Śniło jej się, że jest większa, piękniejsza i że zwiedza świat. Jednak jak się obudziła odkryła, że nic się zbyt nie zmieniło. Nadal niczym się specjalnym nie wyróżniała. Ciągle myślała, kiedy pojawi się jej nowa koleżanka. Spoglądała w dół z gałęzi na zieloną trawę i różnokolorowe kwiaty. Była tam prawdziwa tęcza barw - niebieskie, żółte, czerwone, pomarańczowe czy fioletowe punkciki sprawiały, że widok był naprawdę wspaniały. Zamysłona, nie zauważyła pojawienia się znajomej.

- Cześć mała biedroneczko! - przywitała się z nią Bzyczka. - Jak mnie nazwałaś?

- Biedroneczką. Przecież nią właśnie jesteś. Nie wiedziałaś o tym? - zadumała się pszczołka.

- Należysz do bardzo pożytecznych owadów, podobnie zresztą jak i ja. - Owady? A co to takiego? Używasz tylu mądrych słów, a ja nic nie rozumiem - larwa zakryła oczka nóżkami i zaczęła płakać.

(fragment bajki)
Anna Wabik